№ 31. Warszawa, dnia 23 Lipca (4 Sierpnia) 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Literatura czeska (dalszy ciąg). — Co lepiej? (wiersz). — Panie Redaktorze! — Błędne drogi. Rzecz opowiedziana przez J. K. Gregorowicza (dalszy ciąg). — Ostatni z rodu. Opowiadanie historyczne (dalszy ciąg). — Pogadanka. — Korespondencya z Paryża. — Z kraju i z zagranicy.—Zawiadomienie. W Dodatku: Stary zamek (La lizardière.) Romans współczesny (dal. ciąg). — Pani Teodora (dal. ciąg).

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

(Dalszy ciąg.)

Otóż tak wolno postępowała i rozwijała się czeska literatura, uciemiężana i przygniatana. Coraz nowsze i energiczniejsze siły dojrzewały pod okiem starszych, aby potem wystąpić do nowej walki w obronie praw własnych. Do takich możemy zaliczyć Józefa, Wacława Fricza (Brodzkiego) urodzonego w Pradze 1829 roku, jednego z przodowników nowszej romantycznej szkoły, o którym mówiliśmy już na wstępie wskazując jego „Upiora". Ale czynność tego człowieka nie spoczywa w jego utworach i pieśniach, o których Tiftrung powiada (str. 128) „że nacechowane są niezwykłą fantazyą, a przedmiot w nich jest obrobiony starannie i dobitnie, ale częstokroć posunięty aż do przesady." Józef Frycz ma inne zasługi, jest on niezawodnie jednym z główniejszych przewódców ruchu umysłowego i zarazem nowego kierunku w poezyi i literaturze czeskiej. Wystąpił po raz pierwszy z „Almanachem" (pismem zbiorowym) „Lada Niola" w 1856 roku, gdzie pomieszczał też i swoje artykuły... Wkrótce potem uwięziony i wypędzony z kraju, przebywał po za jego granicami, gdzie politycznie starał się oddziaływać na interesa swego narodu. Czas jakiś będąc w Paryżu, zetknął się z emigracyą i tam wyuczył się po polsku tak, że nie przedstawiało mu wcale trudności miewać odczyty o czeskich dążnościach, usiłowaniach, polityce i literaturze, w świeżo nabytym języku, które dotąd jednak nie zostały wydane. Równocześnie z nim ukończył studya i opuścił szkoły młody, ale energiczny człowiek Witesław Halek. Jeszcze na ławie gimnazyalnej okazał się gorliwym patryotą i uzdolnionym Redaktorem małego pisanego na prędce pisemka. Pismo to wychodziło sekretnie bez wiedzy profesorów trzy lata, aż wreszcie policyi udało się schwycić jeden numer tej gazetki, sprawa oparła się aż o ministeryum w Wiedniu.

Wyćwiczywszy się tak na ławie szkolnej, młody człowiek z całem zasobem wiedzy i praktyki wstąpił na arenę życia. Początkowo przejął redakcyę almanachu „Maj", którego prowadził Barak, potem redagował czas jakiś „Slovanské besedy" wreszcie objął „Lumir", a po roku zmienił go w „Ilustrowaną złotą Pragę". W 1866 roku założył razem z I. Nerudą „Kviety" czasopismo illustrowane, których wyszło siedm roczników. Co się tyczy samego życia społecznego to i tu Halek ma wielkie zasługi. Założył bowiem wraz z doktorem Gregrem, F. Pivodou i doktorem Prohazką towarzystwo artystyczno literackie „Umielecké besedy", którego przeszło lat cztery był sekretarzem.

Przedwstępne te usiłowania rozwoju umysłowego w Czechach, kończą się z rokiem 1860, gdzie zmuszona Austrya zmienia swoją dotychczasową politykę i zaprowadza zupełnie inną formę rządu. Ktoby chciał zważać na statystyczne dane to te niezawodnie bardzo korzystnie świadczyłyby o całym tym ruchu. Szczególniej dziennikarstwo, bardzo licznie było reprezentowane, do miesiąca czerwca, 1862 roku wychodziło w Czechach przeszło 70 dzienników i czasopism z tych 33 niemieckich a 37 czeskich. Ośm pism politycznych codziennych czeskich, a cztery niemieckie.

Do politycznych codziennych musimy zaliczyć i świeżo wydane, które już po roku 1862 powstały jak np. „Narodné listy" wreszcie „Hlas", „Pražské nowiny", „Pražsky Pasel", „Pozor", „Czas", „Obecné listy", „Humoristické listy" (obrazkowe) i dziennik redagowany przez Czechów po niemiecku „Politik".

Wreszcie pięć pism kościelnych z których trzy ewangelickie „Hlasy ze Siana", „Hus", i „Evangelické noviny", a dwa katolickie: „Czasopis katolickeho duchovenstwa" i „Błachoveiest" katolickie. Dwa pisma pedagogiczne „Szkoła i Żywot" (Szkola a život) i „Przyjaciel zwierząt" (Przitel zvirzat) pięć naukowych „Czasopis Muzea kralestvi czeskeho" (czasopismo Muzeum czeskiego) „Živa", „Pamatky archaeologické a mestopisné" (Pamiętniki archeologiczne), „Czasopis lekarzu czeskych" (Czasopismo lekarzy czeskich), „Prawnik". Cztery zaś pisma przemysłowe: „Nowiny gospodarskie", „Postęp gospodarski", „Listy żywnostenské", „Złote dno". Jedno muzyczne: „Dalibor„. Dwa beletrystyczne: „Rodzinna kronika" (z ilustracyami) i „Lumir". Dwa satyryczne „Brejle" i „Kowa" (z ilustracyami). Po za obrębem Pragi: „Szkolnik" i „Pestun", obydwa pedagogiczne na Morawie i jedno ilustrowane beletrystyczne „Obrazy życia" wszystkie trzy razy na miesiąc.

Wszystko to były jednak po większej części lub podtrzymywane przez rząd, lub z małem bardzo znaczeniem wobec takiej cenzury. Dopiero po roku 1860 zaczęło się nieco inaczej rozwijać dziennikarstwo czeskie w całem tego słowa znaczeniu. Datuje się to z wystąpieniem na widownię polityczną Riegra (*). Rieger urodził się dnia 10 grudnia 1818 roku w Semilech, syn zamożnego

(*) Życiorys Riegra wraz z portretem zamieszczony jest w „Slavinie" Tom I, str. 35.

młynarza. Oddany do Pragi na naukę, uczęszczał do tegoż gimnazyum, gdzie niezapomniany nigdy Jungman zostawał dyrektorem. Był zatem wraz ze Sztulcem, Pichlem, Tupym, Macho i Erbenem uczniem Jungmana, z nimi się też wychował i z nimi wystąpił poraz pierwszy na widownię dziejową, pisząc wierszyki i zamieszczając je w almanachach i po różnych czasopismach, jak również z nimi wyrobił sobie stronnictwo, które przeciwważyło Czelakowskiemu.

Po pewnej przerwie udał się na drugi rok prawa studyów prawniczych do Wiednia, gdzie zawiązał liczne stosunki z Polakami, Rusinami i południowemi Słowianami. W 1841 roku umarł mu ojciec, prawie w tem samem czasie kiedy wyszedł tomik jego ballad wydanych wraz z utworami Pichla i Tyla. Widząc się osieroconym, Rieger wziął się do pióra i został współpracownikiem „Wlastimila" (*).

W dwudziestym czwartym roku wstąpił do sądu, co nieprzeszkadzało mu bynajmniej wraz ze Sztorbachem, Erbenem i Traianem redagować „Meszczańską besiadę pragską" i przygotowywać się do złożenia doktoratu. W 1846 r., a zatem w dwudziestem ósmem życia otrzymał on dyplom doktorski poczem odbył natychmiast podróż do Włoch. Po powrocie ze swoich wycieczek powziął myśl wydawania własnego organu. Wtedy Juljusz Greger otrzymał właśnie koncesye na „Narodne listy", które Rieger niezwłocznie uczynił własnym organem. Dziennik ten ukazał się w początkach grudnia 1860 roku, nakładem towarzystwa, zebranego przez Riegra, który objął tam dział wstępnych artykułów prowadzonych ze świadomością rzeczy, tak że one głównie przyczyniły się do wznowienia wyboru reprezentacyi miasta i burmistrza. Był to krok bardzo ważny w życiu Riegra i temu jedynie może zawdzięczać swoje wyniesienie i popularność jaką się szczyci w Czechach. Wreszcie trzeba przyznać, że zasłużenie mu się to należy. Sam wolny wybór burmistrza, w miejsce nasyłanych tu Niemców a razem pochlebców rządowych, dał możność samodzielnego rozwoju miastom czeskim i zapewnienie praw obywatelskich, o które daremnie było się upominać u ludzi niedbających o dobro poruczonego im grodu. Odtąd sława i znaczenie Riegra rosły z dniem każdym, a naród witał i uwielbiał swego wybrańca. Wkrótce też potem Rieger wszedł do rady państwa i tam w 1863 r. wraz z innymi posłami dnia 25 czerwca postawił pamiętny spis radzie, domagając się pewnych korzyści i ustępstw na rzecz królestwa czeskiego, wraz z warunkiem, że jeśli rada zadość tym wymaganiom nie uczyni — posłowie czescy wystąpią z niej natychmiast.

Rada odrzuciła podany wniosek posłów czeskich, dając im jeszcze dni 14 do namysłu, ale Riegier nie przyjął tych warunków i wraz z jedenastoma posłami czeskiemi ustąpił.

(*D. c. n.*)

Co lepiej?

Czy lepiej mieć wspomnienia, czy nie mieć ich lepiej? —
Proszę — powiedz mi szczerze — gdyż myśl ma w rozterce,
To się niemi upaja i w tęsknocie krzepi,
To znów rozrania niemi ukojone serce,
I w piersi drży namiętną i ponurą burzą,
Po której — tęcze długo pogody nie wróżą.

* * *

Z czoła zaś twego bije blask pogodny, jasny,
A uśmiech, chociaż smutny ale słodki taki,
Że ludzie mogą myśléć, iż cichy i ciasny
Był zawsze krąg twych uczuć, że nigdy za szlaki
Nie wybiegał codzienne, że cię zawsze życie
Darzyło w same błogie uczucia obficie.

* * *

Lecz ja wiem jakie bóle tyś w piersi nosiła,
I wiem, że chwil słonecznych rozkosze ci znane,
Tylko nie wiem, zkąd dziwna, niepojęta siła,
Mimo, że słońce zgasło, mimo, że masz ranę
Niezagojoną w piersi — a w sercu wspomnienie...
Żyjesz... choć treścią życia twego jest cierpienie.

* * *

A może ty w wspomnieniach właśnie czerpiesz siły,
I na zbolałe serce z nich balsamy bierzesz,
Może one ci będą świecić do mogiły,
A więc ty ich jak szczęścia, jak relikwii strzeżesz?
Mnie jednak, gdy wspomnienie jedynie zostało,
Wiem tylko, że to mało, że to bardzo mało...

E.

(*) „Wlastimil" wychodził pod redakcyą Tyla.

Panie Redaktorze!

Paryż, 27 lipca 1883 r.

W numerze 25 „Tygodnika Mód", w pięknem ocenieniu pełnych talentu poezyi pani Maryi Konopnickiej, przez pana Zoryana, wyczytałam ośm wierszy, którymi dziesięć lat temu, zakończyłam żartobliwą piosenkę, do kobiet usiłujących wstępnym bojem, dobijać się *praw człowieka.* Rzecz prosta, że dwie strofki oderwane od całości, mogły pokazać myśl moją w zupełnie fałszywem świetle, czego ja zostawić nie mogę bez protestacyi, z powodu wielkiej wagi przedmiotu o jaki idzie.

Nie mam pod ręką tej piosenki, pamiętam jednak, że wymierzoną była wyłącznie przeciw śmiesznej pretensyonalności tak zwanych *emancypantek,* nie zaś przeciw kobietom, które wytrwałą pracą usiłują wyrobić sobie stanowisko, a co więcej, plonem zdobytym w pocie czoła, pomnożyć ogólne zasoby.

„Dawniej było inaczej, mówi krytyk, kiedy pani S. D. wołała:

...Chcesz się dobić praw człowieka!"

Dawniej odpowiemy na to, żart tak samo był żartem, jak jest nim dziś i jutro będzie. Lat dziesięć nie przeistoczyło tak dalece pojęć ogólnych, abyśmy i wówczas nie wiedzieli, że dobijanie się *praw człowieka,* nie może być branem na seryo w społeczeństwie, gdzie kobieta uważana za jednostkę odpowiedzialną, gdzie ma pole otwarte do wszelkiej pracy na jaką tylko zdobyć się może. Miałażbym zresztą ograniczać pole działalności kobiety, skoro sama od lat trzydziestu pracuję gorliwie na polu literatury i o ile siły starczą, dobijam się piórem *praw człowieka?*

Przeciwnie, starałam się zawsze i czynem i słowem zachęcać kobiety do wytrwałej pracy, wyraziłam to wielokrotnie, oto naprzykład w odezwie do znakomitego rytownika naszego Oleszczyńskiego:

. . . . . . Na swojskim zagonie
Sandomierskiej pszenicy zżęłam snop nie mały,
Od żelaznego sierpu ręce mi stwardniały,
I nogi mi boleśnie skrwawiły ścierniska,
I nieraz kroplę potu znój z czoła wyciska,
I nieraz, gdy na rękę popatrzę żylastą,
Nie pomnę że Bóg słabą stworzył mnie niewiastą.

. . . .

Zaprawdę jam niewiasta, przyznaję to chętnie,
Bo czuję to po wrzącem mego serca tętnie,
Bo czuję, gdy na piersi położę dłoń ciepłą,
Że wiara w niej nie zgasła i życie nie skrzepło!
Jam niewiasta!... bo czysta nić mego przędziwa.
Kiedyż to nie wołano niewiasty do żniwa?
A dziś, gdy zjałowiały te Boże zagony,
Jeśli rękę przyłożym do pługa i brony,
Jeśli pot na obliczu bruzdy nam wyorze,
Kto winien? Ci co dali cierniom na ugorze
Rozrość się tak szeroko, co posieli w chwasty
Naszą złotą pszenicę, kiedy my niewiasty,
Hodujem ją na przyszłość, by wydała ziarno,
Gdy padnie promień słońca na tę rolę czarną,
Dziś jałową, bo skrzętnych brakło jej oraczy!

Tęż samą myśl później wypowiedziałam w kilku zwrotkach do młodych Polek uczących się na jednej z wszechnic szwajcarskich.

Wy siostry moje, co pospołu ze mną,
W nieznany matkom wstępujecie tór,
Wam przyszło rozbić mgłę uprzedzeń ciemną,
Rączym polotem waszych młodych piór.

Szły matki nasze z sierpem na zagony,
Dla nas otworem oto nowy szlak,
Naprzód co żywo, do pługa do brony,
Bo łan szeroki a oraczów brak.

Tylu ich padło! — zastąpmyż ich siostry,
Kto przysposobi dla przyszłości snop?
Im głębiej w ziemię zanurzym pług ostry,
Tem wyżej patrzmy w podsłoneczny strop.

Mniejsza choć nogi skrwawią nam ciernisko,
W kolei nowych nietrzebione dróg,
Meta przed nami wspaniała i blizka,
Idźmy tam śmiało, gdzie iść każe Bóg!

Zostawiam na boku ważne pytanie społeczne, na jakiem polu w życiu praktycznem, ma się szczególniej rozwijać działalność kobieca, nie mam zamiaru, zatrzymywać się nad podziałem pracy, tym godnym uwagi przedmiotem, aby w wielkiej machinie społecznej koła nagromadzone z jednej strony nie zawadzały sobie, gdy tymczasem druga strona mogłaby zostać ich pozbawioną. Nie dotykam wcale tego pytania, trzymam się ściśle w obrębie literatury. Tu zdaniem mojem należy połączyć wszystkie siły, wszystkie myśli zestrzelić w jedno ognisko, aby strzedz pięknego języka, tej drogiej nam spuścizny, a bardziej jeszcze, aby walczyć w obronie prawdy!

Miałażbym odciągać z pola zapasów inne kobiety, ja, która uważam za świętą powinność wiernie stać na wyłomie, bez względu na wszelkie następstwa? Szanuję przeszłość, oceniam teraźniejszość, ale żyję przyszłością i to daje mi siłę do wytrwania na raz obranej drodze. Nie odróżniłam by-

najmniej kobiecej od męzkiej działalności, gdym rzuciła myśl moją, jak strzedz tego co nam najdroższe:

Tak, psem ja będę, psem z onej sfory,
Jakich ta ziemia wydała moc,
Co zwietrzy wilka, gdy w drzwi obory,
Po łup się w czarną zakradnie noc.

Tak, psem ja będę, tym psem ze smyczy,
Co na dźwięk trąbki, trop w trop, bez tchu,
Goni kudłacza, skomle, skowyczy,
Aż łowiec oszczep w grzbiet utkwi mu!

Tak, psem ja będę, psem, co swych śmieci,
Pilnuje wiernie u progu chat,
Co pod kurzawą śnieżnych zamieci
Zmrożon do kości, nie zejdzie z czat.

Tak, psem ja będę na swym barłogu,
Północ mi oczu nie zmroczy snem,
Wara złodziejom, wara od progu,
Bo zszarpię w kęsy... ha! będę psem!

Jeśli panie Redaktorze, uznasz za właściwe, zgadzam się na umieszczenie w Tygodniku mojej korespondencyi. Przekonana jestem, że pan Zoryan, którego talent krytyczny wysoko oceniam, nie obrazi się za moje wystąpienie, lecz zobaczy w niem dowód szczerego uznania, a pojmując ważność podniesionego zagadnienia, zrozumie też i pobudki, jakie mnie skłaniają do tych krótkich wyjaśnień.

Seweryna Duchińska.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Pani Smirska starała się jak najusilniej o zbliżenie Zbigniewa do Walentyny, której widocznie unikał. Gdy mu ciotka z tego tytułu robiła raz wyrzuty, rzekł krzywiąc się:

— Moja cioteczko kochana, mówiąc tak szczerze między nami, toć to z niej niebardzo powabna osóbka. Przygarbiona, z oczami zmrużonemi, z kościstemi policzkami i z bródką jak makówką, przypomina legendową postać, ale wcale nie rusałki.

— Co też prawisz za niedorzeczności!

— Być może, ale towarzystwo z kobietą brzydką, to jak operacya chirurgiczna, której się tylko w ostateczności poddaje.

— Jest wykształconą, poznaj ją tylko dobrze a przekonasz się, że może się bardzo podobać.

— Nie lubię kobiet na uczoność chorujących. Są to istoty, które choćby najładniejsze samowolnie się obrzydzają. cóż dopiero nie roszczące do urody pretensyi.

— Mimo tego proszę cię bardzo — odrzekła p. Smirska — abyś o życzeniu mojem pamiętał. Prosta grzeczność wymaga tego.

— Dobrze cioteczko, dobrze, od jutra poddam się twej woli, bo muszę przygotować się, aby uzyskać oklask publiczności.

Pani Smirska niecierpliwie poruszyła się i uderzywszy lekko w blat stolika, rzekła:

— Nie żądam od ciebie tak wielkiego poświęcenia, na braku twego towarzystwa Walentynka nic nie straci. Możesz sobie odejść.

Wyrzekłszy to p. Smirska zabrała się do przejrzenia listów i biletów wizytowych, leżących na stoliku. Zbigniew znając dobrze stanowczość rozkazów ciotki, wyszedł z pokoju szepcząc w myśli:

— Tom się dostał w opały. Tu ciotka a tam panienka jak lukrecya, do której mam się mizdrzyć i motylkować dowcipem i nadskokami. Położenie wcale nie do zazdrości. Czyżby mnie swatać z nią chciano? Nie to niepodobna!

Od tego czasu Zbigniew bardzo często jadał śniadania na francuzki sposób o godzinie pierwszej podawane, z ciotką i Walentyną. Za nadto był zależnym od woli ciotki i wiedział dobrze, że tylko od niej wszystkiego może się spodziewać. Gdy odbył tę pańszczyznę, jak powiadał, puszczał się w świat i najczęściej wracał do domu dopiero o trzeciej lub czwartej rano, a nieraz i później. Co robił, gdzie przebywał przez czas tak długi, nikt go o to nie pytał: ojciec tylko pan Władysław uśmiechając się mówił do siebie:

— Szczęśliwa młodość! niech się bawi i używa póki może.

— Niech szumi, póki się nie uspokoi — mówiła znów do siebie pani Smirska i Zbigniew jakby czytał w myślach swoich opiekunów, bawił się, używał i szumiał, że nawet w Warszawie nabrał pewnego rozgłosu.

Przy śniadaniach jednak, spełniając życzenie ciotki, starał się być jak najprzyjemniejszym towarzyszem, pełnym dowcipu i wesołości.

Słuchając jego rozmowy, jak po różnych kwestyjkach, przeskakiwał ze zręcznością najwytrawniejszego skoczka, tu ukłuł satyrą tam obrzucił sarkazmem lub ośmieszył dowcipnem porównaniem, zdawałoby się, że Zbigniew bawi się z całą swobodą, a jednak był to tylko przymus, po uwolnieniu się z którego, oddychał dopiero całą piersią.

Obie panie były przecież z tych baniek mydlanych bardzo zadowolone, śmiała się pani Smirska, śmiała się Walentyna, po kilku jednak takich posiedzeniach dzieweczka zaczęła pilniej rozpatrywać się w rozmowach prowadzonych ze Zbigniewem. Niezadawalniały jej, czuła że coś w niej brakuje, że słów w nich wiele a nie dla pamięci i wyobraźni i że mimowoli napada ją jakieś niepojęte znużenie.

Raz o teatrze się zgadano.

— Jakiż to piękny pomysł — odezwała się — urządzenia prawdziwych świątyń dla sztuki tak podniosłej.

— Szczególniej w tanecznych pląsach — wtrącił Zbigniew, do których werbowane są jednostki, tylko o klasycznych kształtach jakby kutych w marmurze, ręką najpierwszych mistrzów.

— Balet pomijam — odrzekła Walentyna — ale ciekawam niezmiernie komedyi i dramatu w naszych teatrach...

— O! dramat — przerwał Zbigniew — szczególniej przerażający jest za kulisami.

— Jakto mój kuzynku? Dramat za kulisami?

— Tak moja kuzyneczko, dramat za kulisami, improwizowany w jak najnaturalniejszy sposób, w którym zazdrość ryczy, nienawiść syczy, wściekłość drapie mających przeciwnika porazić bez powstania.

— Ah! to są komeraże zakulisowe, muszą być zabawne, opowiadano mi o nich cokolwiek.

— Bardzo zabawne prawdziwe tragi-komedye w których ani łez, ani śmiechu nigdy nie brakuje.

— Nie pojmuję mój kuzynku jak łzy mogą być zabawne. Wyciska je zwykle boleść, godne więc zawsze współczucia.

— Nie koniecznie, mógłbym ci tego kuzyneczko dowieść licznemi przykładami, gdyby nie ich treść, która pęta kładzie na usta, gdy się jest w dam towarzystwie.

Rozmowa na chwilkę ustała.

— Ah! kuzynku—zawołała nagle Walentyna—tyle słyszałam o piękności utworów Szekspira, o jego nadzwyczajnej znajomości serca ludzkiego, o potędze jego słowa z wielkim urokiem wypowiadanego, że gorąco zapragnęłam poznać go bliżej, ale mi wzbroniono tego, powiadając, że są nieprzystępne dla moich pojęć jeszcze niewyrobionych. Przyznam się, że tego dobrze zrozumieć nie mogę. Przy komentarzu odpowiednim to co ciemne jasnemby się stało, a przecie tym tylko sposobem myśl się kształci i coraz wyżej podnosi.

— Masz słuszność kuzyneczko, że myśl ludzka przy pomocy poezyi wzlata tak wysoko, że oderwana od ziemi spada na nią i kark łamie. Przeszłość potwierdza to. Ludzkość cała zanadto bujała marząc i roztkliwiając się, aż wreszcie lunęła takim deszczem płaczu, że sprowadziła nowy potop, z którego nie wyratujemy się, tylko otworzeniem nowej ery na czystym realizmie opartej.

— Nie rozumiem cię mój kuzynku — odezwała się Walentyna z pewnem niezadowoleniem. — Uczono mnie, chwaląc zawsze, wielką mądrość starożytnego Rzymu, wysławiano Ateny jako kolebkę najwznioślejszych utworów poetycznych, z których ułożono prawidła dla całej poezyi...

— Oj! kuzynko — przerwał Zbigniew—wszystko to jest przepiękne i przemądre, ale jak prawdziwej wartości wina nie pozna, tylko kiper i to bardzo wytrawny, tak i pomniki tej starożytnej przeszłości ocenić może jedynie kiper rozmiłowany w rzeczach pyłem wieków okrytych. Co do mnie przyznam się, że do tych pyłów jak do mamuta kości przysuwam się z wielkiem uszanowaniem, ale jak zawsze upieczony comber sarni przekładam nad naukowe relikwie mamutowych szkieletów, tak zawsze o wiele wyżej stawiam żywą poezyą w postaci rozumnej pięknej kobiety, nad stęchliznę starożytnych pargaminów.

— Przyjm kuzynie — z uśmiechem swobodnej wesołości, odrzekła Walentyna — podziękowanie w imieniu wszystkich pięknych kobiet za podniesienie ich urody na tak wysokie stanowisko. Żałuję, że tego od siebie zrobić nie mogę, ale muszę ci się przyznać, że uwielbiam wszystko co uczy i podnosi ducha, a szanuję choćby kości mamuta tymbardziej przeszłość tak starą, tak zgrzybiałą, która żyjąc wieki dziś jest jeszcze naszą nauczycielką i taką podobno na wieki jeszcze pozostanie.

— Ah! kuzyneczko — odezwał się Zbigniew z udaną wesołością — twój zapał jest zachwycający chociaż i karcący zarazem, że go nie podzielam. Ale nie dziw się temu...

— Ja tak kocham całą tę przeszłość — przerwała Walentyna, jakby własnej myśli odpowiada-

ła i nie zważała na słowa Zbigniewa — ileż to w niej wzniosłości, bohaterstwa, poświęcenia. Nasza na przykład o ilem ją poznała, a na nieszczęście poznałam bardzo mało, jakimże przemawia językiem zrozumiałym dla każdego. Wszakże kuzynie nie zaprzeczysz temu?

— Bez wątpienia — odrzekł Zbigniew — podzielam twoje uwielbienie i czuję w sobie krew tej wielkości, którą przedstawiała, jestem dla niej z wielkiem uszanowaniem jak dla klejnotu, który nas bardzo wiele kosztował i ciągle także kosztuje, ale... bez nadziei powrotu jego świetności. Przyznasz kuzynko, że to rzecz niebardzo zabawna.

Walentyna zamyśliła się, Zbigniew pragnąc rozmowę wprowadzić na pole ploteczek wielkoświatowych, w których był dzielnym szermierzem, rozpoczął opowiadanie o jakiemś nieporozumieniu dość zabawnem z zazdrości bezzasadnej wynikłem, ale Walentyna zdawała się nie słuchać tego i choć ciotka rozśmiała się, rzekła:

— W tem co powiedziałeś kuzynku, czuję jakiś dysonans, coś...

— Czy w burzliwym zazdrośniku, czy w dowcipnym figlu, który mu wypłatano? — zapytał Zbigniew.

— Przepraszam cię kuzynku, ale opowiadania twego przez roztargnienie nie dobrze wysłuchałam. Uwaga moja dotyczy owego klejnotu, którym nazwałeś...

— Ah! kuzyneczko — przerwał Zbigniew, rozprawa dalsza w tym przedmiocie mogłaby nam zepsuć humor przynajmniej na dzień cały, a pożytku żadnego nie przynieść...

— Czyż to być może?

— Wierzaj mi kuzynko, dzień zaś kwasu i tęsknych westchnień samowolnie zdobyty, to najszkaradniejsze marnotrawstwo życia ludzkiego, czego unikam z największą troskliwością, bo nie chcę sam na sobie popełniać samobójstwa. Dajmy więc pokój kwestyi tak zawiłej, drażliwej i prawdziwej musztardy po obiedzie.

— Być to wszystko może co twierdzisz kuzynku, wiem jednak, że najpoważniejsi myśliciele, ludzie głębokiej nauki, chętnie zajmują się podobnemi zadaniami a jam tak ciekawa, tak pragnąca poznać wszystko co nas dotyczy. Wszakże przeszłość jest nauką przyszłości.

— Oh! kuzynko, to chaos w którym poszukując prawdy można dojść do obłędu, ale do ładu choćby najmniejszego nigdy. Filozofia a za nią historya i wszystkie prawidła życia zapewnić mające szczęście ludzkości, stanęły dziś na pewniejszem stanowisku, jak mrzonki i bajania przeszłej uczoności całego świata. Wszelką abstrakcyą zachowano w muzeach pamiątek przeszłości, a zabrano się do rzeczywistości, do pozytywnej pracy tak niesłusznie wyszydzanej przez marzycieli metafizycznych. Ona to otwiera dopiero oczy na to czego dotąd nie widziały, ludzi robi trzeźwymi, patrzącymi na życie z właściwego stanowiska, aby to nie snuło się nudnie jak nitka z kołowrotka zawsze jedna i ta sama, ale harmonizowało z powabami świata, tak szczodrze go zdobiącemi.

— Ah! kuzynku — z uśmiechem odezwała się Walentyna — rzuciłeś tyle myśli dla mnie zupełnie niezrozumiałych, co ze wstydem muszę wyznać, że rzeczywiście w głowie mojej powstał chaos o którym wspomniałeś. Jestem jednak z tego zupełnie zadowolona, bo to poda nam tyle materyału do naszych pogadanek, że już zawczasu cieszę się przyszłą zdobyczą dla mojej nieświadomości.

— Oh! kuzynko zanadto dla mnie jesteś łaskawą, zanadto przeceniasz moje zdolności—odrzekł Zbigniew z pewną tajoną niecierpliwością. — Na podziękowanie też pozwól, że cię pochwalę za wytworny prawdziwie artystyczny gust, z jakim przystrojoną spotykam cię zawsze. Przymiot to wielkiej wagi.

— Zapewne — potwierdziła Walentyna — cieszy mnie wielce twa pochwała, nawet i to żem na nią, według twego zdania zasłużyła, ale przyznam ci się kuzynku, żem tak mało dotąd na to zważała, iż nie mogę ci się wywzajemnić podobną pochwałą, bo nie wiem czy zalecasz się tym przymiotem.

— No, ja mężczyzna, rzecz inna, ubiór nasz nie przedstawia takiej rozmaitości jak stroje damskie, ale żebyś kuzynko wiedziała, jak to się niektóre inne panie stroją, to nieraz od śmiechu wstrzymać się nie można.

— Czyż to być może?—zapytała Walentyna.— Przyznasz kuzynku, że poczucie piękna tak wrodzone jest człowiekowi...

— Przyznaję, przyznaję — przerwał Zbigniew z widoczną obawą, aby rozmowa na tór dawny nie weszła, i zaraz zaczął opisywać z prawdziwie gryzącym dowcipem, różne przekroczenia przeciw dobremu gustowi niektórych pań znajomych, przeszedł potem do spotykanych w zebraniach publicznych, na balach, koncertach, w teatrach i tak to wszystko umiał ubarwić, ożywić, ośmieszyć, że pani Smirska śmiała się ciągle a i Walentyna wesołość jej zdawała się podzielać.

Opisy następne różnych awanturek mniej skandalicznych, ploteczek, nieporozumień, różnych tajemnic finansowych, pychy dorobkiewiczów, źródeł ich majątku, równe na słuchaczkach robiły wrażenie, tak dalece, że gdy Zbigniew rozstawszy się z paniami przeszedł do swego mieszkania, ciotka rzekła:

— Wyborny ten nasz Zbinio, można wielu jego dowodzeniom zarzutów mnóstwo zrobić...

— Czy i stryjencia to spostrzega? — zapytała Walentyna z pewną żywością.

— Naturalnie, ale jestem o niego spokojną — odrzekła pani Smirska. — Nowinki naukowe, jak niegdyś u nas nazywano, pojęcia kontrabandą przychodzące z zagranicy, przez młodzież zwykle chciwie są chwytane, burzą w niej, robią wiele wrzawy, hałasu, nawet pędzą czasami do wybryczków mniej pożądanych, ale czas przyprowadza wszystko do równowagi, przycisza burzę jako rzecz konieczną a w jej miejsce osadza rozwagę pod strażą doświadczenia. Zbinio jest już na tej drodze... jeszcze owe nowinki nie porzuciły go w zupełności, paple czasem jakby głowa w nim gorzała a myśli uciekały z niej bez ładu z obawy pogorzeli ale zawsze miły to młodzieniec, wesoły, dowcipny, z którym rozmowa bardzo jest zajmująca.

— To prawda, że uśmiałyśmy się bardzo, jak dawno tego nie pamiętam—odrzekła Walentyna— tylko...

— Tylko co? — zapytała pani Smirska widząc, że wychowanica nagle umilkła.

— Jestem cokolwiek w kłopocie, jak się wyrazić a lękam się, aby uwaga moja nie była... niedorzeczną.

— Mów bez obawy, moje dziecko, wszak jesteśmy same.

— To i powiem. Otóż Zbinia lubię, w towarzystwie jego czas szybko upływa, a jednak podczas całej z nim rozmowy, dość często obudza się we mnie jakieś niezadowolenie, niejasno pojmowane, coś jak akord fałszywie uderzony i dopiero jak stryjencia powiedziała, że Zbinio czasem *paple* jeszcze, zaraz poczułam, że wyraz ten najlepiej odpowiada memu wewnętrznemu poczuciu. Cóż stryjencia na to?

Pani Smirska odchrząknęła, spojrzała na wychowanicę i całując ją w czoło, rzekła:

— Oj! ty główko, równie jak Zbinia gorejąca. Wyrażenia się tego *paple*, nie trzeba brać w jego właściwem znaczeniu. Paplą tylko półgłówki a Zbinio do nich nie należy, owszem przeciwnie, jest to młodzieniec, który z nauki wiele korzystał.

— Ah! jakże mnie to cieszy! — zawołała Walentyna — bo wyznam szczerze, że to co mnie tak poruszyło i potem utknęło na tym nieszczęśliwym wyrazie *paple*, zrobiło na mnie przykre wrażenie. Tylko moja stryjeneczko, Zbiniowi ani słówka o tem nie powiedz, bo ja tak mało jeszcze umiem a tak bardzo pragnę z nim rozmowy, której mógłby unikać, gdyby się dowiedział jak byłam w sądzie o nim... niedorzeczną i mógłby mnie Bóg wie jak osądzić.

— Czy ci tak bardzo o to idzie? — zapytała p. Smirska spoglądając ciekawie w oczy młodej dzieweczki.

— O! bardzo, bardzo — odrzekła Walentyna, wpatrując się także z uśmiechem w swą opiekunkę, przy której nogach na małem stołeczku siedziała.

— Wszak prawda, że Zbinio jest bardzo przystojnym mężczyzną?

— Czy jest przystojnym? — zapytała z podziwem Walentyna i zerwąwszy się z siedzenia i klaszcząc w ręce mówiła dalej:

— Ah! jaka ja roztrzepana! Zawsze śmiano się ze mnie na pensyi żem na to baczenia nie dawała i gdy raz jednego z profesorów, którego wszystkie moje koleżanki za brzydala uznały, jam nazwała ślicznym, taki śmiech powstał w sali, że to aż zwróciło uwagę przełożonej. Prawda, że podobno nie był ładny, ale wykład jego tak był piękny i zajmujący, takim blaskiem gdy mówił jaśniały mu oczy, tak pomału twarz mu rozpromieniała się zapałem naukowym, że patrząc na niego i słuchając zachwycona nie widziałam jego niepozornej osoby, tylko duszę, która przez usta przemawiała. O ile więc Zbinio jest przystojny, tego nie umiem powiedzieć... nie zważałam na to... nie zastanawiałam się... mam wzrok tak krótki, widać że ta wada fizyczna jest tego przyczyną. Ale poprawię się, tylko stryjenciu nic nie mów Zbiniowi, bo mnie wyśmieje a ma dowcip tak kolący... Sama nieurodziwa, chciałabym aby nie ceniono mnie z tego jak się przedstawiam, tylko jak myślę, rozważam i sądzę. Dlatego też i z ludźmi przestając, oceniam ich nie oczami ale myślą.

Na drugi dzień Walentyna przyszła do śniadania w binoklach, których tylko do gry na fortepianie i czytania używała i jakby spełniając dane przyrzeczenie, bacznie przyglądała się Zbigniewowi. Rozmowa była dosyć ożywiona, Walentyna zajęta badaniem urody kuzynka, mniej ją podtrzymywała pytaniami zbaczającemi od jej kierunku, zato p. Smirska więcej była rozmowna a Zbigniew tak się rozgadał, że dłużej zabawił przy śniadaniu niż zwykle.

— Ah! otóż i trzecia dochodzi — zawołał nagle wyjmując zegarek—jakże to czas szybko upływa w przyjemnem towarzystwie, za które winienem i kochanej cioteczce i drogiej mojej kuzynce serdeczne podziękowanie. Muszę jednak spieszyć się, bo na trzecią mamy umówione zebranie samych członków towarzystwa wyścigów konnych.

Żegnam zatem panie i proszę wierzyć, że z żalem prawdziwym.

Pani Smirskiej grzeczne to znalezienie się siostrzeńca bardzo się spodobało. Ucałowała go serdecznie w głowę i ściskając mu rękę rzekła z naciskiem:

— Dziękuję ci Zbiniu, bardzo dziękuję, lubię gdy starasz się o robienie mi przyjemności.

— Oh! cioteczko — odrzekł Zbigniew z galanteryą całując rękę ciotki, zawsze jestem na twoje rozkazy. Do widzenia moja kuzyneczko.

— Do widzenia, do widzenia — odrzekła Walentyna z przyjaznym uśmiechem, wyciągając rękę do kuzynka, a po jego odejściu zwracając się do p. Smirskiej rzekła:

— Dziś dobrze przypatrzyłam się Zbiniowi, do czego szkieł umyślnie użyłam i przekonałam się, że rzeczywiście jest przystojny nawet bardzo urodziwym nazwać go można.

— Jest nim rzeczywiście — odrzekła p. Smirska — a chociaż piękna powierzchowność nie jest w mężczyznie najważniejszym przymiotem, lekceważyć jej jednak nie można.

— Szczególniej spodobało mi się w nim czoło— odezwała się Walentyna.

— Czoło? — zapytała p. Smirska.

— Tak jest, czoło, stryjenciu kochana, czy cię to dziwi?

— Cokolwiek, bo pierwszy raz mi się zdarza, aby pochwała czyjej urody od czoła się zaczynała.

— Zaraz to usprawiedliwię stryjeneczko.

— Bardzo ciekawam twego wywodu.

— Otóż widzisz, kiedy niebo zupełnie pogodne, a ztąd i zowąd przepływają po niem chmurki jasne i tak ślicznie kłębiące się na niebieskim lazurze, lubię niezmiernie w nie się wpatrywać i pytam sama siebie, zkąd one wyszły, gdzie tak spieszą jakby marzące, zadumane, jaka myśl w nich spoczywa? Otóż na jasnem czole Zbinia, gdy rozmawiał z nami, lekkie drgnienia, które po niem przebiegały, marszcząc czasami jego gładką powierzchnię, zdawały mi się być owemi białemi chmurkami, które tak lubię, dlatego i czoło jego szczególnie mi się spodobało.

— No, rzeczywiście czoło ma ładne, myślące — odrzekła p. Smirska — ale urodzie twarzy musi ustąpić pierwszeństwa.

— Prawda stryjeneczko, bo i na twarzy często te lekkie drgnienia spostrzegam, szczególniej gdy z większem ożywieniem rozmowę prowadził.

— Prawda, że była zajmująca?

— Nie wątpię stryjenciu, ale zajęta badaniem urody Zbinia — odrzekła Walentyna z uśmiechem — więcej patrzyłam na całą jego postać jak słuchałam tego co mówił.

— Cóż za dziwaczka z ciebie — z żywością odrzekła p. Smirska — przecieć słuchanie patrzeniu nie przeszkadza.

— Stryjenciu, nie gniewaj się! — zawołała Walentyna, ja sama czuję, że jestem dziwaczką i tak mnie czasami na pensyi nazywano, ale cóżem winna, że często nie idę ścieżkami już udeptanemi, tylko sama im nowy kierunek naznaczam. To te szkaradne moje oczy tego jedyną przyczyną, ale będę usiłować poprawić się chociaż klepać za panią matką pacierz, rzecz nie bardzo zajmująca.

— Do pewnego stopnia jest konieczną, bo zupełnie pominięta przemienia ludzi w ekscentryków, w dziwaków, narażających ich na śmieszność a ja nie chciałabym żeby moją kochaną dzieweczkę na podobne narazić następstwa.

— Oh! jakże ci wdzięczną jestem stryjeneczko— zawołała Walentyna z uczuciem — za twoją baczną opiekę. Ja tak nie ufam sobie, tak nie pewna jestem wszystkiego co myślę, lub mówię, a tak pragnę rozumnego przewodnictwa...

— Nie będę ci go szczędzić — przerwała pani Smirska przytulając główkę zafrasowanej dzieweczki do siebie. Poczciwe z ciebie dziecko a wiesz jak cię kocham, jak pragnę twego szczęścia.

(*D. c. n.*)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

Michał Powała, dosyć często bywając z różnemi zleceniami księcia u Żędziana niejednokrotnie już rozmawiał z Małgosią, a ujęty jej wdziękiem, jej skromnością, jej rozsądkiem rozgorzał mimowiednie szczerą lecz cichą miłością z którą jednak przed wybranką serca swego zwierzać się nieśmiał a nie będąc pewnym nadto, czy miłość jego znajdzie oddźwięk w jej sercu i aprobatę jej ojca, z całą szczerością wyznał mu wszystko, przyjęty zaś mile przez Żędziana, dziś postanowił koniec położyć tej niepewności, wynurzając przed Małgosią swój afekt sercowy. Podążał też za nią, gdy z izby biesiadniczej się wydaliła i niepostrzeżony stanął za oponą zwieszającą się u drzwi.

Tymczasem nadszedł książę, również śledzący Małgosię, Michał więc niechcąc zdradzić swej obecności musiał wysłuchać całej rozmowy i musiał się dowiedzieć, że w księciu groźnego ma rywala. Z ściśnionym też sercem i boleścią, Michał opuścił swą kryjówkę, a uciekając od gwaru i ludzi zdawszy służbę na towarzysza, szybko oddalił się z domu Żędziana, podążając do dworca Radziwiłłowskiego i zamknął się w swej izdebce.

Dobrze już było po północy, gdy obaj książęta Słuccy powrócili z biesiady do dworca, gdzie Wojciech Białyński wysłany przez książąt do Warszawy z listami, od księcia Krzysztofa Radziwiłła, z powrotem swoim na nich oczekiwał. Do listów księcia ojczyma, był także dołączony i list w. hetmana i kanclerza Jana Zomojskiego, w którym na miłość ojczyzny zaklinał obydwóch książąt, aby nie łączyli się z stronnictwem Górki i Zborowskich pragnących w własnych widokach na tron osierocony, Maksymiliana arcyksięcia austryackiego wprowadzić, zwlaszcza że prawowitym i najodpowiedniejszym kandydatem do tronu polskiego, był Zygmunt Waza królewicz Szwedzki, syn Katarzyny Jagiellonki siostry królowej Anny wdowy po Stefanie Batorym. Na odczytywaniu listów, instrukcyi oraz wysłuchaniu relacyi Białyńskiego zeszła reszta nocy tak że już świtać zaczynało, gdy obaj bracia udali się na spoczynek.

III.

W niewielkiej narożnej komnacie, pierwszego piętra, w kamienicy należącej do Kiełbasińskiego mieszczanina Lubelskiego, a obecnie zamieszkiwanej przez woj. Poznańskiego, tejże samej nocy po biesiadzie u Żędziana odbywała się zupełnie inna scena niż u książąt Słuckich. Wojewoda wróciwszy z biesiady i zasiadłszy przed kominem na który pajuk sporo suchych drewek dorzucił, kazał przywać, plenipotentaryusza swego niejakiego Grzegorza Brzozkę.

Brzozka był naturalnym synem wojewody, lecz nikt dokładnie nie mógł tego wiedzieć. W każdym jednak razie pochodzenie Brzozki było dosyć tajemnicze, o pochodzeniu swoim o rodzinie i okolicy gdzie poprzednio przebywał, nigdy z nikim nie mówił i zaczepiony w tej materyi zbywał półsłówkami. Na dwór wojewody do Szczebrzeszyna przybył licząc zaledwie lat trzynaście i wojewoda niezwłocznie przyjął go do swoich osobistych usług, zaleciwszy ministrowi zboru Aryańskiego w Szczebrzeszynie, wyuczenia dokładnie sztuki czytania, pisania i rachunków. Brzozka nadzwyczaj pojętny niebawem posiadł udzielane mu nauki, a jako zamknięty w sobie, ściśle i bez szemrania wykonywający zlecenia pana, z żadnym z licznej służby wojewody w zażyłych stosunkach nie żyjący a nawet nielubiany przez nich, z razu kilkakrotnie a następnie coraz częściej przez wojewodę użyty był do pisania listów i tajnych ekspedycyi. Licząc już lat około trzydziestu kilku pan wojewoda przekonawszy się, że na Brzozce jak na samym sobie polegać może, uczynił go najprzód lustratorem rozległych dóbr swoich a w końcu i plenipotentaryuszem przed którym wszyscy drzeli unikając jak dyabła.

Jak wstręt budzącą była postać jego, tak też i wstrętną była dusza jego. Przed niczem się nie wzdragał, byle tylko pozyskać uśmiech lub pochwałę pana. W nic też nie wierzył, z religii i jej obrzędów szydził a bał się jedynie gniewu wojewody, który dlań był wszystkiem, panem życia i śmierci.

Grzegorz Brzozka był wzrostu miernego, krępy i barczysty, posiadając przy tem niesłychaną siłę, której dawał nieraz dowody. Stosunkowo do wzrostu ręce miał trochę przydługie, a głowę niepomiernie wielką, pokrytą ryżemi szczeciniastemi włosami. Oczy małe, zielonkowate, nadzwyczaj ruchliwe i w głębokich jamach osadzone, błyszczały złowieszczo. Czoło nizkie poorane zmarszczkami, nos gruby i szeroki, silnie wystające kości policzkowe, brwi krzaczaste, usta wydatne i nadmiernie szerokie, a przytem wyraz twarzy znamionujący chytrość i przebiegłość, tworzyły tak wstrętną całość, że podobnym był raczej do dyabla niż do człowieka i stworzenia Bożego.

Niedługo wojewoda czekać potrzebował na przybycie wezwanego, bo Brzozka niezwłocznie w kornej postawie stanął przed nim.

— Cóż nowego powiesz mi waszeć? — zapytał wojewoda spoglądając z pod oka na przybyłego.

— A cóż? nic! miłościwy panie — odparł zapytany—chyba tylko to, że trudno nam będzie przyciągnąć na naszą stronę obydwóch książąt. Pono w ślepą babkę grać z nami zaczynają.

— Z czegóż to wnosisz?

— Z tego co widzę i na co się patrzę. Dziś w nocy powrócił z Warszawy ich wysłannik do księcia hetmana, i przywiózł z sobą listy, ponoć także i pisanie od jegomości pana kanclerza koronnego.

— No i cóż tego? Są przecież koligatami jeżeli nie po mieczu to zawsze po kądzieli!

— Tak, wiemci i ja o tem — odparł Brzozka jakby od niechcenia — lecz jak teraz nie idzie tu

o żadne rodzinne sentymenta, lecz o rzecz zupełnie inną.

— Mówże już raz wyraźnie! — zakrzyknął wojewoda niecierpliwiąc się półsłówkami swego powiernika.

— Kiedy wola waszej miłości, to powiem — rzekł Brzozka zbliżając się do wojewody, a nachyliwszy się ku niemu dodał półgłosem — podsuwają im kandydata do tronu!

— Kandydata? ha, ha, ha! — roześmiał się wojewoda. — No i proszę kogo też, może kanclerz siebie myśli ozdobić koroną, aby snadniej i bezkarniej, szlachcie mógł głowy z karków zdejmować?

— Nie, o tem on nie myśli—odparł Brzozka — stawia na kandydata takiego, co tak tańczyć będzie jak mu pan kanclerz zagra.

— Nie doczekanie jego!

— I ja tak powiadam, za pozwoleniem waszej miłości, lecz cóż na to poradzić? Kandydat pana kanclerza może licznych znaleźć adherentów, w żyłach jego płynie dawna krew Jagiellonów, boć przecież królewicz szwedzki Zygmunt jest rodzonym siostrzeńcem miłościwej pani naszej, małżonki zmarłego króla.

— Co, Zygmunt? to szwedzkie półdyable! — zawołał wojewoda zrywając się z siedzenia, a żywo przechadzając się po komnacie dodał—nie! nie! nigdy na to niepozwolę, chociażby krew rzekami całemi polać się miała! Jakto, butny panek, siepacz Batorego miałby więcej znaczyć niż ja, który ród mój wiodę od wieków, w których o Zamojskich nikt ani nie marzył? I on miałby nam narzucać swego kandydata? Nie to niepodobna! Musiałeś się przesłyszeć! Mów, bo mnie ta niepewność zadławi!

— Nie przesłyszałem ci się — odparł głęboko kłaniając się Brzózka — wiem to dokumentnie, dworzanin Białyńskiego mówił mi, że w Warszawie za sprawą kanclerza wszyscy głośno gadają o kandydaturze królewicza Zygmunta!

— Ale ja nic o tem nie wiem! — zakrzyknął wojewoda, przyskakując z pięściami do Brzozki, który stał milczący i nieruchomy — dopiero teraz dowiaduję się, może już po niewczasie! Do czegóż ja cię mam? Może i ty mnie zdradzasz! Mów! mów! cóż stoisz jak z kamienia wykuty. Roztworzę ci gębę, język ci wyrwę, jelita wypruję, a zdradę ukarzę!

— Wolno waszej miłości zrobić ze mną co się podoba, lecz nigdy się to nieokaże po mnie, bym waszą miłość zdradzał!

(*D. c. n.*)

POGADANKA.

Tyle razy pisałem o skwarach i upałach, że aż się boję na nowo poruszyć tę kwestyę, a jednak jest ona obecnie najbardziej na dobie. Wszyscy o niej mówią, piszą aż do znudzenia. Przyczynę łatwo odgadnąć. Gorąco jest i basta. Francuzi północy, to jest niby my, nawykliśmy bardziej do zimna, aniżeli upałów, dalej posiadamy i tę zaletę czy przywarę Francuzów, że nas wszystko rychło nudzi i zniecierpliwia. Stałość nam często imponuje, lecz nie zawsze się na nią sami zdobyć potrafimy. Z wiosną narzekamy na zimno i słoty, żądamy ciepła, choćby nawet upałów, a kiedy wreszcie lato nastanie wołamy w niebogłosy: cóż za gorąco, wyżyć już niepodobna.

Otóż w skutek takich stosunków i usposobień wyludniła się Warszawa zupełnie.

Wyszedłem do ogrodu Saskiego, do owego letniego salonu Warszawy. Tam zwykle spotykałem wszystkich znajomych, tam szukałem obok świeżego powietrza, towarzystwa i rozrywki. Zawiodłem się wszakże fatalnie. W ogrodzie pusto, jakby jego piękne drzewa i wonne kwiaty już nie starczyły Warszawiakom do swobodniejszego oddechu, do chwilowego wypoczynku. Kilku starych emerytów, bony i guwernantki bez miejsca, jakieś fragmenta młodzieży, ot i wszystko.

Smutno bardzo smutno...

Co tu począć, pomyślałem. Usiąść w cieniu ponurego drzewa i myśléć... Lecz o czem? Czy o tem, że w tej chwili inni używają rozkosznej wilegiatury? Miło to bardzo, siedzieć w takim skwarze, że zdaje się duszę wypali i myśléć o przyjemnościach drugich. A tu jeszcze prasa ciągle wspomina o upałach i kanikule.

Nie, nie wytrzymam.

Pakuję tedy manatki i wybieram się seryo w podróż.

Żegnam cię Warszawo!

Zdala od twych murów, na wolnem powietrzu, będę do ciebie tęsknił, jak wierny i czuły kochanek, bo niech sobie mówi, kto co chce, nie ma jak Warszawka. Czy dlatego, że to gród Syreny, czy...?

Ale mniejsza z tem, kocham cię, kochałem w dzieciństwie, gdym cię jeszcze nie widział. Kochać będę zamykając powieki. Może wtedy ujrzę cię w złotych blaskach ostatniego spojrzenia.

A to co?

Sentymentalizm?

— Wstydź się — zawołał jeden z moich przyjaciół — wyjeżdżasz na wieś i tak się rozczulasz? Czy ty nie wiesz co się dziś w Warszawie dzieje? Gorąco zabijające, brak wody...

Uspokoiłem się i jadę.

Dorożka pędzi na kolej, kupuję bilet, oddaję pakunki, siadam do wagonu i — czekam.

A trzeba państwu wiedzieć, że wszystko lubię robić, byle nie czekać. Czekanie jest dla mnie okropnem.

Wreszcie ruszamy. Miasto znika powoli z oczu, widzę drzewa, pola, łąki... Oddycham innem powietrzem, robi mi się lżej na sercu, cieszę się. Za miastem stoją wiatraki. Jest ich tak wiele jak może nigdzie. Ja przynajmniej nigdzie tyle wiatraków nie widziałem, jak pod Warszawą. Widocznie nie brak tu wiatru silnego, który porusza koła młyńskie i idzie ludziom na pożytek. Czy i tu więcej prądów jak w samej Warszawie?

Nie umiem pewno odpowiedzieć — posądzać nic i nikogo nie chcę.

Żegnajcie mi wiatraki... chociaż wiem pewno, że i z wami się jeszcze spotkam nie raz...

Don Quichotem nie będę, wojny wam nie wypowiem. Poruszajcie się za każdym podmuchem wiatru — byle na pożytek. Lepszą jest stałość, lecz o nią tak trudno...

Lecz jedźmy dalej.

Z okien wagonu kolejowego widziałem Częstochowę. Tym razem nie mogłem zatrzymać się nawet kilka godzin, ażeby napoić wzrok widokiem świętego miejsca.

Pociąg pędził dalej i po kilku godzinach byłem w murach Krakowa.

Ile razy jestem w tem mieście, a dzieje się to bardzo często, zawsze doznaję dziwnie silnego wrażenia. Poważne mury, tysiące zabytków i pamiątek, zdają się przemawiać, jak skamieniałe karty dziejów. Nic dziwnego, że w Krakowie właśnie najlepiej udają się wielkie uroczystości, obchody i jubileusze.

Ciche zawsze i spokojne miasto ożywia się nagle, kipi ruchem tysiąca przybyłych. Przybiera barwę odświętną, na twarzach wszystkich widzisz współczucie, tego co się dzieje. Gwar serdeczny rozlega się po ulicach, wszyscy krzątają się jakby w nich nowe życie wstąpiło.

A kiedy się wszystko skończy, zawsze cicho, spokojnie...

Tego roku będzie Kraków obchodził jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy Jana Matejki.

Patrząc na tego człowieka wątłej budowy, ani się chce wierzyć, że przez lat dwadzieścia i pięć stał ciągle z paletą cudownych kolorów i rzucając na płótna, coraz to nowe dzieło, torował naszemu malarstwu drogę, sam ciągle szedł przodem, mistrzem był. A jednak tak jest. Matejko jest tym genialnym artystą, który pokazał, że mniemania znakomitych nawet ludzi, jakoby u nas malarstwo nie miało racyi bytu, było najzupełniej błędnem.

Geniuszem zadziwił — wytrwałością przekonał.

Zanim napiszę o całej działalności tego mistrza, rzuciłem tych kilka uwag, ażeby jeszcze wspomnieć, żeśmy mieli ludzi o wieszczem przeczuciu, którzy wróżyli malarstwu naszemu świetny rozkwit. Do tych proroków należał Juliusz Słowacki. W swoich listach do Wojciecha Stattlera, zdolnego swego czasu malarza, pisał wiele o malarstwie naszem i jego przyszłości. Stattlera cenił wysoko i pisząc o jego *Machabeuszach* powiada: „Twój obraz, to brzask różany kiedyś przyszłego malarstwa polskiego..." Mówi dalej, że zaczynając nasze malarstwo od razu sławnym być nie można. Lecz kiedyś ziemia nasza stanie się jako Ateneum Chrystusowej sztuki *a skrzydłem tej ziemi będzie Kraków.*

I takich przeczuć wiele. Wieszcz nasz widział przyszłość malarstwa naszego, widział ją świetną i przeczuł malarstwo historyczne. Między innemi powiada, że „wschodnio błyszcząca strona charakteru musi wytrysnąć na wierzch oryginalnością, podobną kolorytem do obrazów Pawła z Werony, z równym zgiełkiem osób, z równą wrzawą kolorów, na sceny świata wychodzącą.."

Nie mogłem się powstrzymać od przytoczenia tych uwag. Rzecz to dotąd nieznana, więc spieszno mi było podzielić się z wami temi myślami genialnego Juljusza.

Listy Słowackiego do matki znane już są dawno, lecz do Stattlera i Zygmunta Krasińskiego ukazały się dopiero dziś w druku w nowem wydaniu firmy Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Więc dlatego wplatam w tę pogadankę wiązankę literacką, ciekawą, pełną skarbów i bogactw. Wiem, że ją chętnie przyjmiecie.

A kiedy już o listach Słowackiego mowa, to podzielę się z wami ślicznym wierszykiem tego poety, napisanym do Krasińskiego. Rzecz także dotąd nie znana.

„Żegnaj! o żegnaj archaniele wiary!
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono.

Ogrzał, oświetlił, wziął we własną trumnę
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne.
Więc gdzieś daleko u boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu!

A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba spokojności,
Lecz jeśli ducha nadchodzą morderce?
Lecz jeśli walka jest — dałeś mi serce!

Wszak warto w „Pogadankę" wpleść taki klejnocik, rzadki dziś, coraz rzadszy...

Że przy tej sposobności zwrócę uwagę na „Listy Słowackiego", nie będzie się nikt dziwił. Jest to skarbnica, w której można ciągle a ciągle czerpać, bez obawy, że się kiedy te bogactwa przebiorą.

Czytałem je setki razy, a jednak zawsze z przyjemnością wracam do nich, zawsze jednakowo podziwiam potęgę słowa tego niezrównanego mistrza.

Słowo ludzkie, od początku świata liczono do potęg wielkich, może największych. Że czyniono słusznie, tysiące na to mamy dowodów. Ot i teraz np. donoszą dzienniki, że wymowa jednego z kapłanów w Warszawie tak wzruszyła słuchaczy, że jeden z nich, biorąc sobie do serca słowa o nieuczciwie zabranym groszu, zaraz po kazaniu złożył deklaracyą, iż odda 5,000 rubli, niezbyt godziwie zebranych w czasie opieki nad sierotami...

Obyśmy takich faktów więcej zapisywali — aż wreszcie znikną z horyzontu nieuczciwi opiekunowie...

Es. Zet.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 sierpnia 1883 r.

Aby zadowolnić Czytelniczki nasze, korzystaliśmy z pociągu spacerowego, który co sobota jeśli czas dopisuje, wywozi z Paryża tłumy turystów na wybrzeża Normandyi i Bretanii. Obraliśmy Boulogne, gdyż moda upodobała sobie to miasto zamieszkałe w wielkiej części przez angielskie rodziny.

W niedzielę rano, powietrze było chłodne, słońce pokryło się mglistym rąbkiem, nieustraszone tem Paryżanki, przechadzały się po wybrzeżu, za powrotem z kościoła. Wszystkie niemal, chroniąc się od zimna, przywdziały wełniane długie płaszczyki, rozmaite krojem i barwą, przytaczamy kilka rannych kostiumów, które szczególniej wpadły nam w oko.

Osoba w średnim wieku, ubrana z wytwornym smakiem, miała spódniczkę z ciemno popielatego kaszmiru indyjskiego, w kolorze stalowym. Cały garnirunek u dołu, składał się z sutaszu naszytego, dziesięcioma rzędami, dwa rzędy w dwóch odcieniach, szły obok siebie, po czem następowała mała przerwa na palec. Przód spódniczki spinał się na rzęd maleńkich guzików, z perłowej konchy popielatej. Z obu stron guzików naszyty był dziesięć razy sutasz, ten krzyżując się u dołu z naszyciem u spódnicy, tworzył w rogach zakratkowany kwadrat. Na wierzch szedł płaszczyk zwany lewitką, krótszy od spódniczki, u dołu i po bokach naszyty sutaszem, zrobiony z tegoż samego kaszmiru. Plecy przystawały zupełnie do figury, tylna poła rozcięta była od dołu aż do stanu. Przednie poły puszczone lekko, przewiązane były w pasie wstążką atłasową popielatą; przytwierdzoną do boków. Na wierzch szła mała kardynałka, zaróno naszyta sutaszem, obciskająca dobrze ramiona. Kapelusz do tego okrągły popielaty, miał rondo szerokie, podbite czarnym aksamitem, podniesione z lewego boku, zdobił go pęk strusich piór w dwóch popielatych odcieniach. Rękawiczki duńskie popielate długie i trzewiczki wycięte w żeberka, na popielatej jedwabnej pończoszce, dopełniały ubrania.

Druga młoda mężatka, miała jaskrawszy, gustowny także kostium, z tartanu białego w kratę morderową dość wielką, ale złożoną z drobnych prążków. Cała spódnica układana była w kontrafałdy. O kilka cali nad ziemią, szła jednym rzędem aksamitka szeroka na trzy palce, przyfałdowana razem ze spódnicą. Lewitka z tegoż samego materyału, miała przody objęte wzdłuż plisą aksamitną morderową. Od boków szły wstążki *gros grin*, przewiązane z przodu na długą kokardę. Rękawy otwarte w formie pagod, objęte aksamitem, podbite były marseliną w kolorze morderowym.

Kapelusik ze słomki morderowej, z pękiem takichże piór, ładnie odpowiadał całości ubrania.

Uważaliśmy wiele kostiumów z takiegoż tartanu białego, w kratę z drobnych jak nitka prążków, w kolorze ciemno zielonym, śliwkowym lub brązowym. Są także tartany gładkie, białe lub jasno popielate, z odpasowanym szlakiem z wązkich prążków. Zdobią je aksamitką lub wstążką w odpowiednim kolorze.

Zapiszmy tu jeszcze kostium marynarski ciemno granatowy. Spódniczka z gładkiego tartanu cała układana w zaprasowane kontrafałdy. Na to lewitka w rzut z kotwic, przerabianych jasno niebieską wełną, w odcieniu popielatym *bleu electrique*, przewiązana takiemiż wstążkami. Kapelusik ze słomki granatowej z pęczkiem piór strusich w dwóch stosownych odcieniach.

Około południa, słońce wybiegło z po za chmur. Koncert w kasynie przyciągnął strojne tłumy. Tu już ukazały się letnie suknie, w wielkiej rozmaitości. Oto całkowite ubrania, które nas szczególniej uderzyły.

Pierwszy kostium. Spódniczka z fularu *surah* w kolorze *caroubier*, u dołu szeroki wolant wycinany w długie języki. Z pomiędzy tych języków wygląda wolant koronkowy tejże samej szerokości. Na wierzch suknia otwarta z fularu *surah* w kolorze popielatym *gris ardoise* przerabiana w różnokolorowe gałązki, ogarnirowana koronką, podpinana kokardami ze wstążki *caroubier*. Stanik otwarty z przodu, na kamizelce *caroubier*.

Kapelusik do tego jasno popielaty słomkowy, nad czołem dyadem z różnobarwnych kwiatów polnych bez liści. Na ten dyadem spada koronka, przyszyta brzegiem do ronda. Szarfy z podwójnej wstążeczki *caroubier* przewiązane z boku na długo spadające pukle.

Rękawiczki jasno popielate, przyciśnięte bransoletami. Trzewiczki ze skórki popielatej z kokardą w pośrodku, na jedwabnej pończoszce *caroubier*.

Drugi kostium, także z fularu *surah,* jasno błękitny *bleu electrique*, w rzut z wielkich gałęzi ciemno szafirowych. U dołu spódnicy dwa wolanty zakończone koronką. Tunika podobnież ogarnirowana, podpięta po bokach i w tyle pękami pukli ze wstążki szafirowej.

Kapelusik ze słomki w naturalnym kolorze, nad czołem dyadem z bławatków w dwóch odcieniach, przysłonięty spadającą od ronda koronką. Trzewiczki ciemno szafirowe, na jasno błękitnej pończoszce. Rękawiczki duńskie do łokcia.

Trzeci kostium. Spódniczka czarna z materyi broszowanej. U dołu dwa wolanty, podszyte różowym fularem *surah.* Nad wyższym wolantem, naszyta blądyna czarna, odwracana w szlimak *en coquille.* Na to lewitka z gładkiej materyi czarnej, *gros de Tours*, podbita różowym fularem. Z przodu blądyna rzęsisty tworzy żabot. Kołnierzyk do tego wielki koronkowy, takież mankiety, odwinięte na rękaw. Kapelusik czarny słomkowy, przybrany czarną koronką, opasany dwa razy grubym różowym sznurem, z boku wielki bukiet z róż bez liści. (Kolor różowy, w odcieniu poziomkowym, jakby jagody rozgniecione w śmietance).

Czwarty kostium. Spódniczka z lekkiej materyi, mienionej w dwóch kolorach, morelowym i złotym. U dołu dwa wolanciki z materyi, na nich naszyta lekko biała koronka tejże samej szerokości. Przód cały nagarnirowany takiemiż wolancikami. Od boków rozchodzi się draperya, tworząca z tyłu puff rozniesisty. Stanik z długim bawetem. Od prawego ramienia do lewego boku, przechodzi wstążka atłasowa *caroubier,* przepięta w odstępach trzema wielkiemi rozetami. Kapelusik słomkowy, nad czołem dyadem z polnych maczków, na pół przysłonięty koronką.

Piąty kostium, z fularu *surah*, mienionego w kolorach poziomkowym i popielatym. U dołu dwie falbany, szerokie przeszło na ćwierć łokcia, każda z nich przefałdowana przez środek w kontrafałdy, wystrzępiona po obu stronach na dwa cale. Strzępki od główki spadają na dół i łączą się z wystrzępioną u dołu frendzelką, co tworzy szczególny garnirunek. Na wierzch idzie tunika popielata, w aksamitne centki poziomkowego koloru. Taki sam stanik otwarty z przodu, na poziomkowej kamizelce.

Kapelusik do tego słomkowy, jasno popielaty, podbity poziomkową materyą, podpięty z boku bukietem poziomek.

Szósty kostium szafirowy *bleu marin*, z wełnianej tkaniny *voile*. Spódnica plisowana w potrójne kontrafałdy. Na trzy cale od ziemi, naszyta wstążka atłasowa w kolorze różowym *fraise ecrasé*, fałdowana wraz ze spódnicą. Na to niezbyt długa tunika, podpinana pękami pukli różowych, ogarnirowana białą koronką. Kapelusz słomkowy ciemno szafirowy z egretką blado różową. Trzewiki szafirowe w żeberka, na różowej jedwabnej pończoszce.

Wiele oprócz tego uważaliśmy sukien czarnych z blądyny hiszpańskiej, lub jedwabnych z blądynowemi wolancikami z dżetem.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

⁂ W Detroit otwarto klub polski, do którego na początek zapisało się 32 członków. Wszyscy członkowie zgodzili się iż w nowem stowarzyszeniu gra w karty miejsca mieć nie będzie. Celem klubu jest utrzymanie języka przez rozmawianie, prenumeratę pism i założenie czytelni.

*** Niedawno temu umarł w Filadelfii ksiądz arcybiskup Wood, wychowany w religii kalwińskiej, a zawdzięczający swe nawrócenie polskiemu kapłanowi, ks. Rapcewiczowi, w roku 1836. Od owego czasu ks. Wood stał się gorącym przyjacielem Polaków i opiekował się nimi w Ameryce. W testamencie swoim zrobił zapis na kilka łóżek w szpitalu dla ubogich Polaków, oraz pewną summę na restauracyę miejscowej parafialnej polskiej świątyni.

*** „Gazeta Polska” podaje ciekawy ustęp z „Kalendarza Polsko-Ruskiego i Gospodarczego na rok Pański 1824 r.” odnoszący się do wspomnień z roku 1683. Jest to opis wrażenia jakie klęska poniesiona pod Wiedniem wywarła na sułtanie, oraz modły i obrzędy z jego rozkazu z tej okoliczności w całem państwie odprawiane.

Według owego opisu, dowiedziawszy się o tak strasznej porażce, Mahomet IV rzewnie zapłakał, „a napłakawszy się do woli, kazał znów podać sobie pismo zawiadamiające go o niej i przeczytawszy powtórnie, tłukł głową o mur, zgrzytał zębami, targał swoją brodę, a kazawszy sobie przynieść Alkoran, przysięgał, że się mścić będzie tej krzywdy na chrześcianach, póty, dopókąd krew chrześciańska strumieniami po ziemi lać się nie będzie”, i zaklinając się na Boga, niebo, życie swoje, na głowę i brodę swoją, na ciało i duszę, że królów chrześciańskich, „a osobliwie najnieprzyjaźniejszego przeciwnika króla polskiego doszczętnie znieść i wszystkie królestwa w niwecz obrócić z ich żonami, córkami i synami obejść się jak z niewolnikami...” „a jeślibym przysięgi nie spełnił, niech zstąpi na głowę moją gniew boski, niech mnie i wszystkie me dobra ogarnie, niech wszystko czego się dotknę w kamień się obróci, niech rozstąpi się ziemia i mnie i duszę moją pochłonie.” Następnie nakazał powszechne modlitwy, prosząc Mahometa o pomoc, nakazując jednocześnie posty w pierwszy piątek miesiąca nowego, księżyca piątego, szóstego i siódmego, „nic do ust nie biorąc dzień cały, aż ujrzą na niebie gwiazdy.” Dalej przepisał ceremoniał pokutniczych procesyi mających odprawić się w całem państwie, w których przyjmą udział muzykanci i śpiewacy przepasani powrozami, ministrowie niosący kości pozabijanych na wojnach wodzów w 25 okopconych srebrnych trumienkach; tysiące muzułmanów oblanych krwią i osypanych popiołem, oraz tysiące biczowników, smagających się po obnażonych grzbietach cierniami i rózgami. W końcu procesyi, winno nieść trumnę proroka 30 prostych ludzi tureckich z ogolonemi brodami i wąsami, których otoczy 300 baszów z dobytemi szablami, którzy zabijać będą wszystkich coby ważyli się spojrzeć dwornie na trumnę proroka, a ciała ich rzucą psom na pożarcie. Za każdym tysiącem kroków, niech będzie zabity chrześcianin jeden i żyd jeden i niech będą na ziemi we krwi swojej zostawieni. Potem niech idzie 30 baszów z różnych prowincyj, bez szabel i mieczów, a zamiast jakiegoś oręża niech niosą ogon wielbłąda, który zmaczawszy w piasku, ręce niech posypują. Za nimi niech postępuje 30,000 janczarów, ci zamiast broni niech trzymają kije i wlokąc je po ziemi wołają różnemi głosami: *Hała! Hała! parimalhit!* Dalej niech jedzie wielki wezyr na ośle kulawym turbując się wielce, a zamiast berła niech ma w ręku trzcinę i bijąc się nią w głowę i płacząc niech woła: *O sat miloi sulsat!* Za nim niech wiozą skrzynię z pieniędzmi, które będą rozrzucane ubogim, z warunkiem że dopiero po ukończeniu procesyi zbierać je będą mogli. Na ostatek niech zakończy procesyę lud i gmin niezliczony, między którym niech będą Santyni (pustelnicy), którzyby się nożami krajali po twarzy, piersiach, karku i grzbiecie, ażeby z ran krew na ziemię spływała, aby przez to Bóg zagniewany i nasz prorok Mahomet był ubłagany, wszyscy zaś, każdy swoim głosem, niech krzyczą wyciągnąwszy prawą rękę ku niebu: *Alla Balla! Allah Miriretnay!* które to słowa wyrażają pomstę przeciw chrześcianom.”

Turcy zapewnie zapomnieli już o owej procesyi, gdy kościół katolicki po dziś dzień 13 września obchodzi uroczystem nabożeństwem dziękczynnem za ocalenie chrześciaństwa i za dusze rycerzy poległych pod Wiedniem.

*** Piętnasta z kolei kobieta ozdobioną została we Francyi krzyżem legii honorowej, obecnie zaszczyt ten spotkał panią Gross, byłą przełożoną szpitala wojennego w paryzkim *Hotel de Ville*, która podczas ostatniej wojny odznaczyła się niezmordowaną gorliwością i ofiarnością.

*** Wyszło obecnie w Paryżu piąte wydanie książki p. n. *Gerbe de l'ecolier* obejmującej ćwiczenia francuzkie, stanowiące dalszy ciąg gramatyki przez A. Dubois. Dziełko to mieści się na liście książek rozdawanych bezpłatnie w szkołach miejskich paryzkich. Wydawca, zapewne w celu zaskarbienia sobie względów nowych zwierzchników szkolnych, wykreślił wyraz *Bóg* wszędzie, gdzie znajdował się w dawniejszych wydaniach, nietylko w liczbie pojedyńczej ale i mnogiej. I tak w bajce La Fontaine'a *Rybka i Rybak* w której autor napisał:

> Petit poisson deviendra grand,
> Pourvu que Dieu lui prête vie.
> (Rybka wyrośnie na wielką,
> Jeźli Bóg żyć jej dozwoli.)

Wydawca zamienił na:

> Pourvu *qu'on lui laisse* la vie,
> Niech jej tylko żyć dozwolą.)

Lepiej jeszcze w poemacie Delille'a *La Ferme*, tam zamiast:

> Ah! *par les dieux* des champs, que le luxe éffronté,
> (Ah! *przez bogów* pól, niechaj bezwstydny zbytek.)

Wydawca wydrukował:

> Par *les amis* des champs, que le luxe éffronté,
> (Przez *przyjacieli* pól i t. d.)

Korespondent dziennika *Français* uprzejmie wskazuje wydawcy jedną jeszcze przeróbkę, gdy wyda szóste wydanie, w poezyi *Rhône* przez Laharpe'a, w której nie dopatrzył się wiersza:

> Le fleuve, *dieu* de ces climats...

Kto upoważnia p. Dubois do niedorzecznego przekręcania cudzej myśli? wykonywa widocznie program *kommuny*. „Trzeba wykreślić Boga” i wykreślając go z książek i serc uczniów, dziwią się następnie coraz wzrastającej niemoralności i liczbie potwornych zbrodni.

*** Umarł w lipcu we Florencyi genialny architekt Emil de Fabris, twórca mającej odsłonić się w październiku fasady katedralnego florenckiego kościoła „Santa Maria del Fiore”, który jak wiadomo, od XIII wieku dotąd pozostawał nieukończony. Fasada ta uważana jest za prawdziwe arcydzieło, stawiające De Fabris'a obok wielkich mistrzów Arnolda di Laps, Giotti'ego i Bruneleschi'ego, których nazwiska związane są nierozłącznie z tłumem florenckim. De Fabris urodził się w r. 1808, był znakomitym malarzem akwarelistą, a w budownictwie stworzył nową florencką szkołę, która wskrzeszając tradycye gotyku włoskiego, tego najpiękniejszego rodzaju stylu gotyckiego, tak wysoko stanęła. Projekt jego zwyciężył na dwóch konkursach, nad wykonaniem go pracował lat dwadzieścia i umarł nie doczekawszy odsłonienia swego pomnikowego dzieła. Takiż był los Giotto'ego, twórcy prześlicznej dzwonnicy i Brunelleschi'ego, twórcy kopuły tegoż kościoła, która Michałowi Aniołowi za wzór posłużyła. W ostatniej życia godzinie, De Fabris miał widzenie, w którem ukazało mu się dzieło jego zupełnie już ukończone przy blasku olśniewających promieni słońca, witane oklaskami niezliczonego tłumu. Oddał Bogu ducha z radosnym na ustach uśmiechem, w którym widniał przedsmak czekającej go nieśmiertelnej sławy.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюля 1883 г.

Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

I widać wyraz twarzy hrabiny nie wróżył nic złego, gdyż wpatrywała się w nią z niemą prośbą aby list przeczytać mogła.

Po chwili namysłu, Krystyna podała go młodej przyjaciółce, która czytała z niewysłowionem zajęciem, już to rumieniąc się już to uśmiechając. Skończywszy rzekła:

— Ach! jak on mnie nie zna i nie pojmuje!... Czyż wszyscy mężczyzni tak niedomyślni i podobnie trafny sąd wydają o kobietach?

— Tak, moje piękne dziecię, wszyscy... lub prawie wszyscy.

Tego dnia nic więcej nie mówiły o Janie; w ogóle nawet rzadko rozmawiały o nim, z powodu obecności Marylki, która gdy tylko matka po cichu rozmawiała z Rajmundą, zawsze prawie zadawała pytanie:

— Dlaczego tak cicho mówisz, mateczko?

Nazajutrz Krystyna odpisała Janowi.

Lizardière, 16 czerwca, 1869 r.

Odpisuję ci z Lizardière, kochany kuzynie, gdzie przybyłam odwiedzić pannę Désormes. Wyszła gdzieś z ojcem, otóż oczekując jej powrotu, umyśliłam choć listownie pogawędzić z tobą.

„Tak więc, młody arystokrato, zostałeś już na wpół obywatelem wolnej Ameryki, i ty syn rycerzy krzyżowych, pracujesz dla republikańskich Yankesów! A wszystko dlatego jedynie aby wrócić do Francyi jako wielki i potężny pan i właściciel la Mairie, Lizardière, Braye-sur-Maulne, Lublé, Saint Lorentin-du-Pont i wielu innych. Pięknie to i chwalebnie odzłacać pracą własną herbową tarczę naddziadów! Przychodzi mi jednak na myśl czy nie zatrzymuje cię tam jakiś powód sentymentalniejszy niż malowanie spadków Niagary dla pana Jonatana Müller, czy nie przywieziesz nam czasem jakiejś młodej Amerykanki udrapowanej w szatę pokrytą dolarami. Widzę ją stąd: chuda, długa, długa bardzo, figura płaska, rzadkie czerwone włosy, nogi ogromne, jak królowej Berty, i wielkie czerwone ręce. Oto obraz mego ideału!

„Słyszę wracającą pannę Rajmundę, kończę więc, pozdrawiając cię serdecznie.

Krystyna de Chazé."

P. S. — Marcilly, tegoż dnia, godzina piąta.

„Otwieram list mój dla włożenia w niego kwiatka, który ci posełam w zamian za przysłany mi z grobu James Abbott'a. I ten pochodzi z grobu — z grobu matki twojej. Ilekroć jestem u panny Désormes, odwiedzam kaplicę, i zawsze widzę tam bukiet lub wieniec z polnych kwiatów — Rajmunda zbiera je sama i codziennie składa na grobie rodziców twoich Posełam ci jeden z tych grobowych kwiatów.

„Będę pisywać co tydzień, ale i od ciebie tego wymagam. Bywaj zdrów.

K. de Chazé."

W miesiąc potem, Krystyna odebrała następującą odpowiedź:

Niagara, 17 lipca, 1869 r.

Kochana kuzynko!

„Bądź błogosławiona za tę myśl pożądaną! okryłem pocałunkami i łzami ten mały kwiatek który przebył ocean aby mi przynieść wspomnienie ukochanej matki. Zdawało mi się że nie mógłbym już kochać więcej, a jednak nastąpiło to od godziny.

„Co do panny Rajmundy, byłbym niewdzięcznym gdybym nie podziękował jej że pamięta o grobie mej matki, choć tak nielitościwą okazała się dla syna.

„Żartujesz sobie ze mnie, kochana kuzynko, pisząc o swej chudej i długiej, długiej, długiej! Amerykance. Ale zaślepia cię patryotyzm—nie wszystkie lady Stanów Zjednoczonych są brzydkie, jest wiele bardzo ładnych, lecz te, jak mówisz, *dolarowe szaty*, nietylko mnie nie nęcą ale odstręczają. Pod względem uczuć i ożenienia, patryotyzm mój nie jest tak wyłączny jak twój, kuzynko, ale za to więcej niewzruszony; jeźli ożenię się kiedykolwiek, poślubię Francuzkę szlachetnego rodu, aby dolary republikańskie dopomogły do spełnienia dobrego i arystokratycznego postanowienia.

„Muszę jeszcze donieść ci, kochana kuzynko, że pan Jonatan Müller nie pozwala próżnować moim dolarom, ile ich tylko zarobię moim pendzlem — a zarabiam nie mało, nabywa za nie akcye fabryki broni, której jest głównym akcyonaryuszem. Tak więc obecnie jestem niby puszkarzem, ale nie jest to przecie poniżająca profesya, gdyż jeźli mnie pamięć nie myli, w *Chansons de geste* jest mowa o niejakim Galan'ie, którego rycerz Roland i Olivier wielkim otaczali szacunkiem.

„Pisuj do mnie często, dobra, kochana kuzynko, i mówcie często o mnie z moim zacnym, nieocenionym kuzynem i milutką Marylką — Amerykanie są tak zmyślnemi wynalazcami, iż może lada dzień obmyślą przyrząd za pomocą którego będę mógł was słyszeć — ale i bez tego serce moje dosłyszy.

„Sciskam was wszystkich, tak serdecznie jak kocham.

Jan de Lizardière."

Krystyna nie pokazała listu tego Rajmundzie, obawiając się aby ów ustęp o małżeństwie nie wywarł na niej zbyt bolesnego wrażenia.

Upływały dnie, tygodnie, miesiące, hrabina i panna Désormes widywały się coraz częściej, pojmowały wzajemnie coraz lepiej i kochały coraz więcej. Przychylając się coraz do życzenia Rajmundy, pan Désormes pozwolił jej na całą zimę pozostać w Marcilly; to ciche i proste życie, daleko lepiej nadawało się teraz do jej usposobienia niż wrzawa paryzkiego życia. Tylko na parę godzin opuszczała codziennie Krystynę, udając się do Lizardière dla złożenia świeżych kwiatów na grobach rodziców Jana. W tem cichem jednostajnem życiu wśród mgły i śniegów, jedynemi wydarzeniami były listy przychodzące od Jana, odwiedzanie biednych chorych, opóźniony powrót hrabiego z polowania i coraz częstsze rozmaite pytania zadawane przez Marylkę, najciekawszą z młodych dziewcząteк.

Hrabina obmyśliła dla Rajmundy stałe i nader pożyteczne zajęcie. Po wyjeździe Jana Mały Zamek stał pustkami, urządziła w nim więc szkółkę dla dziewcząt wiejskich pod kierunkiem Rajmundy, która wkrótce polubiła bardzo swoje nauczycielskie obowiązki. Z największą przyjemnością wykładała uczenniсom swoim przedmioty nie wchodzące w zakres wiejskich szkółek; uczyła początków rysunku, czytywała moralne książki, objaśniała jak mają czytać same wielkich poetów, daleko dostępniejszych do pojęcia dla maluczkich i ubogich w duchu niż to w ogóle mniemają. Przekonanie że zasiewa dobre ziarno w prostych nieuprawnych duszach niewymowną sprawiało jej radość.

Nadszedł maj, pewnego dnia po południu, Rajmunda kończyła swoją, jak mówiła z dumą, *prelekcyę* wykładając ustęp z *Polyeucte'a*, gdy nagle Klodion, zazwyczaj śpiący spokojnie przy jej nogach, nastawił uszy, szczeknął i pobiegł do drzwi które otwarły się w tejże chwili i silny głos zawołał nagle:

— Oto jest obywatel amerykański!

To hrabia de Chazé zwiastował przybycie Jana, jak wystrzał armatni zapowiada rozpoczęcie bitwy. Ukazał się też niebawem w towarzystwie Krystyny i Marylki.

Zadziwiona równie jak wszyscy, tym niespodziewanym powrotem, Rajmunda zbladła nagle, wstała nie mogąc przemówić słowa; po chwili jednak zapanowawszy nad sobą, podeszła ku Janowi, i podając mu rękę rzekła smutnie:

— Widocznie los mi nie sprzyja, i teraz zastaje mnie pan margrabia na swoim gruncie.

Jan odjął medalion zawieszony przy łańcuszku od zegarka, i rzekł podając jej:

Spojrzyj pani i powiedz sama czy mógłbym jeszcze mieć żal do ciebie.

Zobaczywszy polny kwiatek po za szklanną powierzchnią medalionu, Rajmunda uśmiechnęła się nie uszło to przecież jej uwagi że jakkolwiek słowa Jana były uprzejme, prawie przyjacielskie, wyraz twarzy i dźwięk głosu tchnęły zimną obojętnością.

Gwar rozchodzących się dziewcząt, zagłuszył tę krótką ich rozmowę. W tejże chwili hrabia de Chazé zawołał:

— A teraz wracajmy do pałacu, gdzie tłusty cielec oczekuje na marnotrawnego syna.

Ponieważ droga była dość wązka, Jan pozostał nieco w tyle z hrabią i hrabiną, a Rajmunda poszła naprzód trzymając za rękę Marylkę; tuż za nią biegł Klodion, który, przyznać trzeba, powitawszy radośnie powrót pana, zdawał się przekładać towarzystwo swej nowej pani. Tak to bywają chwile w których i psy stają się niewiernymi.

Jan nie mógł nie spostrzedz prostoty ubioru Rajmundy, miała na sobie białą suknię z niebieską szarfą, kapelusik z włoskiej słomy z szerokim rondem, opasany błękitną wstążką z długiemi końcami.

— Daleko jej w tem ładniej, pomyślał, niż w owych kosztownych strojach jakie nosiła w roku zeszłym.

Podczas obiadu nowa spotkała go niespodzianka. Rajmunda mówiła mało, a co tylko powiedziała odznaczało się skromnością i taktem. Jan odnajdywał w niej teraz uczucia, myśli, sposób wyrażania się i spokój umysłu Krystyny, obok żywości i swobody Marylki, podobną była teraz do obu, do jednej jak młodsza, do drugiej jak starsza siostra. Jan czuł to wyraźnie, nie mogąc jednak wytłomaczyć sobie; dopiero naiwna wielomowność Marylki rozwiązała mu tę zagadkę.

— Muszę ci powiedzieć, kuzynku Janie, że i ja i mama byłyśmy w zimie bardzo zadowolnione, gdyż panna Rajmunda ciągle prawie przebywała u nas; opowiadała mi śliczne rzeczy wyczytane w książkach, doglądała i wyleczyła starego Pieyrard'a który ciężko chorował, a nadto mama, papa i ty macie grać z nią komedyę — dopieroż to dobrze się zabawimy. Czekaliśmy też niecierpliwie twego powrotu.

— Czy i ty, kuzyneczko; masz występować w tej komedyi?

— A jakże, mam w niej małą rolkę.

— Pomówimy o tem po obiedzie, rzekła hrabina.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, kuzynku, paplało dalej rozpieszczone dziewczę, że raz gdy panna Rajmunda rozmawiała po cichu z mamą, dosłyszałam wyraźnie jak mówiła: „Ach, wasz kuzyn Jan, niecierpi mnie, nienawidzi, jestem tego pewna!" Mama zaprzeczała temu, ale nie chciała jej wierzyć. I za cóż to nienawidzisz pannę Rajmundę, kuzynku? to niesprawiedliwie i ja tego nie chcę!

Jan poczerwieniał i nie umiał odpowiedzieć; Rajmunda zarumieniła się po uszy i położenie stawało się nader kłopotliwem, gdyby nie wdanie się hrabiego który zawołał nagle:

— Oh! oh! mój Janku, podobny jesteś do morskiego raka, pójdź do salonu przejrzeć się w lustrze. Wszak prawda, Krystyno, że czerwony jak rak? Znałem pewnego majora; którego przypominasz mi teraz; pójdź się przejrzyj.

Korzystając z tego, Krystyna wstała i wszyscy przeszli do salonu.

W ogóle jest przyjętem że panny nalewają i podają kawę; zwyczaj ten jest ślicznym zabytkiem dawnej niewoli kobiet — Rajmunda i Marylka stosowały się do niego. Gdy Rajmunda podawała Janowi woniejącą mokkę, w pięknej filiżance z sewrskiej porcelany, ozdobionej herbem hrabiego, Marylka niosąca cukier w bogatej srebrnej cukiernicy, skorzystała z tej sposobności aby powiedzieć Janowi.

— Ach! kuzynku, chyba już nic a nic mówić nie będę; wyobraź sobie mama połajała mnie po cichu gdyśmy wstali od stołu.

— Za cóż to Marylko?

— Za nadto się rozgadałam przy końcu obiadu, i widać wypowiedziałam jakieś głupstwo.

Jan i Rajmunda nie mogli powstrzymać się od śmiechu; Rajmunda przyciągnęła do siebie Marylkę i rzekła obejmując ją:

— Panno Marylko, nie trzeba mówić *głupstwo* bo to wyraz nieprzyzwoity, mowi się *niedorzeczność.*

Po kawie wszyscy zasiedli około dużego stołu, z wyjątkiem hrabiego, który jak zwykle po obiedzie zdrzemnął się w swoim fotelu.

— Muszę powiedzieć ci, kuzynie, dla czego mamy grać komedyą; oto przyrzekliśmy dziewczętom wiejskim że w nagrodę za ich postęp w naukach, urządzimy im przedstawienie teatralne. Zresztą jestto dawno przyjęty zwyczaj w rodzinie hrabiego, a że Leopold w właściwych sobie rolach gra doskonale, nie chce więc go zaniedbywać. Będzie to niezwykła uroczystość, na przedstawienie oprócz całej ludności wiejskiej, przybędą krewni nasi z Maine, Turenii i Andegawii. Tak więc zbierze się najmniej trzystu widzów — liczba wcale poważna. Największą trudność stanowił wybór sztuki, która powinna być zarazem zabawną, wesołą, literacką, poetyczną i moralną — otóż mogę się pochwalić iż udało mi się znaleźć takiego feniksa.

— Pewnie jaki utwor Alfreda de Musset?

— Nie, ale pomimo to istne arcydzieło.

— A tytuł jego?

— *Wieszczka* Oktawiusza Feuillet, autora sztuki *Miłość ubogiego młodzieńca,* tego drugiego arcydzieła, które lepiej niż ktokolwiek możesz pojąć i ocenić. W sztuce tej występuje pięć osób, czterech mężczyzn i jedna kobieta. Leopold grać będzie Franciszka, starego sługę, którego rola jest pół poważna, pół komiczna. Oddą ją doskonale. Rolę wicehrabiego Hektora de Mauléon, powierzymy kuzynowi naszemu Gontranowi de Cambry, jakby stworzonemu do niej, rolę Yvoneta, małego gadatliwego bretońskiego chłopca, przeznaczyliśmy Marylce. Pozostaje więc tylko najgłówniejsza hrabiego Henryka de Comminges, do której głosowaniem powszechnem, ty kuzynie, wybrany zostałeś. Zdajesz się stworzony do odegrania roli tego bohatera rozpaczy.

— Ależ, kuzynko, jak żyję nie występowałem w żadnej roli.

— Tem lepiej, nie nabrałeś złych nawyknień.

— Jestem za nadto nieśmiały...

— Tego właśnie wymaga dobre oddanie tej roli... A z resztą nie pytam o nic *tak chcę, więc słuchaj.*

— Będę posłuszny; mówiłaś, kuzynko, że jedna jest tylko rola kobieca?

— Tak, jedna tylko, ale prześliczna. Wyobraź sobie staruszkę nie starą, młode dziewczę ukazujące się najpierw z siwemi włosami i w czarnym nader poważnym stroju, następnie w białej sukni, z prześlicznemi blond włosami, z laseczką czarnoksiężką w ręku, na głowie diadem z polnych kwiatów. Na początku, kiedy ukazuje się jako stara, występuje pod nazwiskiem Aurory de Kerdic, jako młoda nazywa się Jonna d'Athol. Nadzwyczaj lubię tę rolę, kochany Janie.

— Więc odegrasz ją doskonale kuzynko.

— Ależ nie ja w niej wystąpię; i to dla dwóch przyczyn. Najpierw nie jestem dość młodą dla odegrania ostatnich scen, a dość w wieku dla odegrania pierwszych; otóż mam jeszcze tyle pretensyi, kuzynie, iż nie chcę aby powiedziano że nie nadaje się do roli Joanny d'Athol, ale jestem prawie podobna do Aurory de Kerdic. A potem Joanna d'Athol powinna być blondynką, a ja jestem brunetką.

— A więc jestto blondynka?

— Tak, ponieważ jest Bretonką i druidką z lasu Brocelyande.

— Wyszukałaś więc, kuzynko, artystkę blondynkę?

— Nie potrzebowałam szukać—będzie nią panna Rajmunda.

— A!.. panna Rajmunda!..

— No! tak, mój chłopcze, krzyknął budząc się hrabia, naturalnie że panna Rajmunda... Czy masz co przeciw temu? czy może nie zdaje ci się dość jasną blondynką?..

— Ależ, bynajmniej, kuzynie...

— No, to zabierz swoją rolę i ucz jej się zanim uśniesz.

Krystyna podała Janowi książkę, a że już było po dziesiątej wszyscy się rozeszli. Aby dojść do pokoju Rajmundy i Marylki, trzeba było przejść przez salon; Rajmunda szła pierwsza niosąc lampę; gdy otworzyła drzwi salonu, hrabia rzekł do Jana:

— No, chodź zobacz czy obrazy twoje dobrze zachowane.

Jan wszedł do salonu z hrabią i Krystyną; obejrzał obrazy i powiodłszy okiem do koła zobaczył śliczną budkę urządzoną przy drzwiach pokoju Marylki i Rajmundy.

— Co to jest? zapytał.

— Zajrzyj to się dowiesz, odrzekł hrabia.

Zbliżywszy się do budki, Jan zobaczył łep kosmatego Klodiona, patrzącego na niego z pewną obawą i niepokojem.

— Wybaczy pan margrabia że podczas jego nieobecności zatrzymałam Klodiona który pilnował mnie bacznie, zwracam go teraz i przekona się pan zaraz, że nie zapomniał po angielsku. Klodionie, *follow the young master.* (Klodionie, idź za twoim młodym panem.)

Ale Klodion nie ruszył się ze swego posłania — spojrzał tylko wzdychając w stronę pokoju Rajmundy i Marylki.

— Widzi pani że Klodion nie chce wracać do mnie, przyjm go więc pani i zatrzymaj. *Clodion, keep the young mistres.* (Klodionie, pilnuj swojej młodej pani.)

— Przyjmuję, ale będę pożyczać go panu margrabiemu.

— Klodion wlepił w nią rozumne swoje spojrzenie, i ułożył się wygodnie na posłaniu.

Rajmunda i Marylka weszły do swego pokoju, a Jan zamyślony udał się drogą prowadzącą do Małego Zameczku.

— Tak więc, myślał sobie, zabiera mi teraz psa jak pierwej zabrała mój dom rodzinny... skończy się na tem, że pozbawi mnie przywiązania kuzyna i kuzynek... już teraz zdaje się że jest bliższą odemnie ich krewną. Doprawdy, dziwna to rzecz!... Z tego co mówiła Marylka, widzę, iż odgadła moją ku niej niechęć... mniejsza o to! za nadto by tryumfowała, za nadto wbiła się w pychę, gdyby nikt jej się nie oparł... Jednak dobrze zrobiłem mówiąc, że nie mam do niej żalu, i dowodząc tego pokazaniem zeschłego kwiatka w medalionie — nie chcę dla nikogo być niesprawiedliwym.

Jan zastał przed domem oczekującego na niego Pieyrard'a.

— I cóż, poczciwy mój Pieyrard'zie, chorowałeś podobno ciężko podczas mojej tu nieobecności?

— O! tak, panie margrabio, bardzo źle ze mną było; ale teraz jestem zdrowszy niż kiedykolwiek, dzięki pannie Rajmundzie.

— Mówiono mi, że doglądała cię troskliwie.

— Jakby siostra miłosierdzia, panie margrabio; jak mi Bóg miły to istny anioł!

— Widocznie grasuje tu zaraźliwa epidemia uwielbiania dla niej! pomyślał sobie Jan, i wszedłszy do swego pokoju, zaczął czytać *Wieszczkę.*

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Dobrze, mój mężu, zrobimy jak tylko zechcesz, ale przedewszystkiem potrzebuję widzieć się z panią Martin, i dlatego pójdę do niej i zaproszę ją sama, wiem że jest bardzo uprzedzona przeciwko pani Teodorze, i chciałabym ją ułagodzić, a możesz mi wierzyć że trudne to zadanie.

— Ba! ba! zawołał poczciwy Wunderlich, przekonany że żona jego, dzięki słodyczy swego charakteru, potrafiłaby ułaskawić krwiożercze zwierzęta, któżby tobie potrafił się oprzeć? Może teraz, dodał podając klucz swojej ukochanej Minie, spróbujemy sardelów. Spodziewam się że mój szwedzki dostawca przysłał mi coś wybornego, i że będę mógł z czystem sumieniem sprzedawać w sklepie.

Pani Mina wzięła klucz z miłym uśmiechem; przyjęła na siebie obowiązek wyrokowania o dobroci i wartości towarów przychodzących do sklepu męża, i wywiązywała się z tego zadania jak prawdziwy znawca. Po sardelach przyszła kolej na jakiś nowy gatunek sera, biegły odezwał się poważnie:

— Wyborny! doskonały! możesz śmiało podnieść cenę, bo w każdym innym sklepie nie znajdzie się nic podobnego. Sardele także wyśmienite trudno byłoby znaleźć coś lepszego przy kieliszku reńskiego wina.

Pani Wunderlich skosztowała po kolei wiele jeszcze łakoci, a następnie zajęła się przygotowaniami do sutego podwieczorku, na który zaproszenia roznosił po mieście chłopiec sklepowy lub służąca. Były jednak osoby, które pani Wunderlich chciała zaprosić osobiście, a pomiędzy innemi pani Martin do której też udała się nazajutrz rano.

Jak poprzedniego dnia tak i teraz, ten nieponętny obraz surowej cnoty robił pończochę przebierając szybko drutami, i wypada wnosić, że wbrew zapewnieniom książek moralnych dla użytku młodzieży, sumienie wolne od wyrzutów nie zawsze bywa wesołym towarzyszem, bo twarz pani Martin zdawała się jeszcze ostrzejszą jak zwykle. Rzuciła też niezbyt przyjaznem okiem na panią Wunderlich, której toaleta stanowiła tak rażącą sprzeczność z jej purytańskiem ubraniem. Jedynie wymagania najprostszej grzeczności powstrzymały ją od wyraźnych objawów oburzenia; osoby mające przesadzone wyobrażenie o swej własnej cnocie, sądzą że im wolno pogardzać lubiącymi otaczać się drobnemi przyjemnościami życia, a nie chcą przyznać nawet przed sobą że zazdrość jest głównym powodem tej pogardy.

To lodowate przyjęcie nie zraziło pani Wunderlich: wszak znała tak dobrze panią Martin. Zaprosiła ją na podwieczorek, a następnie zaczęła mówić o Teodorze wyrażając się z najszczerszą życzliwością i nie szczędząc jej pochwał. Zajęta głównie chęcią przekonania pani Martin swą wymową, nie zwróciła na to uwagi że wywoływała tylko na jej twarz coraz wybitniejszy wyraz gniewu i niechęci.

— Nie mogę zrozumieć, odezwała się nakoniec cierpko, w jakim celu mówi mi pani o tej niby wielkiej damie rzeczy całkiem niezgodne ztem co wszyscy widzą. Ani ja, ani też nikt z moich przyjaciół i znajomych nie podziela zdania pani, co do żony Fryderyka Gahlen; nic więc dziwnego jeźli mnie razi skoro słyszę jej pochwały z ust pani i pani Hiller, gdyż to każe mi wnosić że zapatrujemy się całkiem odmiennie na to, jak powinna postępować młoda, uczciwa kobieta.

— W jakiej myśli wyraża się pani podobnie? zawołała pani Wunderlich z uniesieniem. Takie słowa wymagają objaśnienia.

— Objaśnię je najchętniej, odpowiedziała dumnie pani Martin a następnie obrzuciła Teodorę potokiem uwłaczających zarzutów.

Pani Wunderlich zerwała się z krzesła zarumieniona z oburzenia, i ujmując się za Teodorą oświadczyła: iż żona duchownego nie powinnaby tak lekkomyślnie powtarzać najohydniejszych potwarzy. Sprzeczka doprowadzona do tego stopnia nie mogła przeciągnąć się długo, i posłanniczka pokoju, pomimo swych pojednawczych zamiarów, odeszła wkrótce po kilku słowach pożegnania, zapowiadających prawie zerwanie dalszych stosunków. Biedna kobieta była tak zmieszana swem niepowodzeniem, że przeszła obok państwa Felsing idących do matki nie widząc ich wcale.

Pozostawmy panią Wunderlich dążącą do mieszkania Teodory, a wróćmy do pani Martin witającej spokojnie córkę i zięcia. Spokój ten jednak był tylko pozornym, i dość byłoby jednego słowa aby to zburzyć zupełnie, gdyż w głębi duszy nazywała zuchwalstwem odwagę z którą pani Wunderlich broniła Teodorę.

— Mamo, co się to stało pani Wunderlich? zapytała jej córka; wychodząc ztąd była tak wzburzona i roztargniona że nam się nie odkłoniła.

Pani Martin wzruszyła ramionami z miną pogardliwą, nie dodającą bynajmniej wdzięku jej rysom.

— Nic dziwnego że była wzburzoną, skoro usłyszała tu nie miłe dla siebie rzeczy.

— Ale to bardzo dobra osoba, mamo... Jutro wydaje podwieczorek na który już mnie zaprosiła; Wszak będziesz także na nim?

— Żadna z nas nie będzie, odpowiedziała ostro matka. Nie chcę spotykać się z osobami których postępowanie uważam za naganne, ani też przyjmować grzeczności od tych którzy im pobłażają.

Pani Felsig posmutniała; wiedząc jednak że wszelki opór rozdrażniłby jeszcze więcej matkę, nie dodała już ani słowa, i wyszła do drugiego pokoju zdjąć kapelusz i okrycie. Felsing zbliżył się natychmiast do pani Martin i zapytał co się stało, a gdy mu wszystko opowiedziała dodając w końcu, że po takiej scenie równie ona jak cała jej rodzina, powinna zerwać stosunki z Wunderlichami, zmarszczył czoło i przygryzł usta, ale pomimo to odpowiedział słodziutkim głosem.

— Masz słuszność, kochana matko, nie mam nic przeciwko temu aby ta próżna i źle wychowana kobieta odebrała niekiedy nauczkę, ale sądzę że nam nie wypada zerwać z znią zupełnie, może będzie lepiej, szlachetniej z naszej strony okazać tym ludziom, że cenimy, stosownie do ich wartości, te dobra ziemskie z których są tak dumni; że zbytek którym się otaczają nie olśniewa nas i nie budzi zazdrości. Ani ja ani moja żona nie mamy powodu odrzucać przyjaźni państwa Wunderlich, dlatego też proszę cię kochana mamo, abyś nas upoważniła do bywania u nich jak dawniej.

Pani Martin spojrzała na zięcia prawie nieśmiało: posunęła się za daleko, i dał jej to uczuć delikatnie. Nie domyślała się bynamniej dla jakich powodów ten wzorowy zięć nie chciał zrywać stosunków z osobami... wydającemi wyborne obiady.

— Zostawiam to do twej woli, mój synu, rzekła zniżonym głosem, ale co do mnie, wyznaję, że trudnoby mi było pozostawać nadal w dobrych stosunkach z tą panią.

Pani Felsing zadziwiła się bardzo gdy mąż oświadczył jej później że będzie mogła korzystać z zaproszenia pani Wuderlich, ale nawykła do biernego posłuszeństwa, nie śmiała nawet zapytać co było powodem tej zmiany, z której zresztą była zadowolniona.

Szczęściem że Teodora mieszkała daleko od pani Martin, gdyż tym sposobem pani Wunderlich miała czas ochłonąć z gniewu zanim zapukała do drzwi swej młodej przyjaciółki, którą przywitała z tak wesołym i swobodnym uśmiechem, że nie podobna było domyśléć się że tylko co stoczyła walkę w jej obronie. Nie zapomniała jednak o głównym celu odwiedzin, i po kilku chwilach rozmowy odezwała się spokojnie:

Wszak, ile sobie przypominam, radziłam ci niedawno, kochana pani Teodoro, abyś starała się być uprzejmą dla Felsing'a, otóż wyobraź sobie że ten zarozumiały głupiec uszczęśliwiony tem że piękna i młoda kobieta jest dla niego grzeczną, przechwala się tem przed każdym kto go chce słuchać, bądź więc odtąd dla niego bardzo zimną i obojętną, moje drogie dziecię, bo mówiąc między nami, nasi sąsiedzi mają skłonność do obmowy; lubią krytykować, przyganiać, słowem, przypinać jak to mówią, łatki swym bliźnim. Smutne to, ale na to nie poradzimy! Zarzucają ci naprzykład że szukasz towarzystwa panów; ja z mej strony nie widzę w twem postępowaniu nic nagannego, ale byłoby może lepiej, gdyby osoba tak młoda i śliczna jak pani Teodora, zrobiła jakieś ustępstwo przesądom małego miasteczka.

Teodora przyjęła z miłym uśmiechem udzieloną jej radę.

— Co do pana Felsing, rzekła zarumieniona, wyrzeknę się z prawdziwą przyjemnością wszelkiej z niem rozmowy. Jestto człowiek bardzo niemiły, w którego powierzchowności i wysłowieniu maluje się fałszywość i obłuda. Czy pani uwierzy że go się prawie boję; oczy jego połyskują niekiedy tak dziwnym i przykrym blaskiem, że radabym uciec z pokoju. Sądzę, że jedynie konieczność musi kogoś zmusić do poszukiwania towarzystwa tego pana.

— Podzielam zupełnie zdanie pani, ale cóż czynić? skoro już istnieją tacy ludzie, i nie chcą się poprawić dla naszej przyjemności, lepiej już znosić ich jacy są, niżeli dręczyć się tem, że nie spotykamy aniołów. Teraz droga pani Teodoro, rzekła spoglądając na zegar, trzeba cię już pożegnać, bo inaczej mój mąż musiałby czekać na obiad, czego nie lubi. Mogę więc oczekiwać pani jutro o trzeciej? Spodziewam się że będę miéć liczne grono znajomych, i rachuję na to że śliczna Pani Teodora nie zrobi mi zawodu. Niech też kochana pani ubierze się w tę fioletową jedwabną suknię w której ci tak do twarzy, i po którą, jeźli pani pozwoli, przyszlę w tych dniach, aby zdjąć formę z rękawów i tuniki.

Teodora oświadczyła uprzejmie że cała jej garderoba jest na usługi pani Wunderlich, pomimo że poprzedzające próby wypadły tak niepomyślnie, iż na samo o tem wspomnienie z trudnością powstrzymywała się od śmiechu. Pani Wunderlich wstała właśnie i spojrzała przypadkiem na statuetkę Wenus z Milo stojącą na małym stoliku.

— Muszę ci powiedziéć jeszcze, moje serce, rzekła z wyrazem życzliwości, że nie powinnabyś trzymać podobnych cacek w swym salonie, wszyscy którzy tu bywają u ciebie nie znają się na nich, i nazywają to nagusami, równie jak i ten obrazek co wisi tam na ścianie. Dla mnie jestto rzecz zupełnie obojętna, choć nie znam się na sztukach pięknych, nie mam nikomu za złe jeźli ma do nich zamiłowanie; ale nasi sąsiedzi i przyjaciele zapatrują się na to zupełnie inaczej, a jakkolwiek może to być przykrem lepiej wyć razem z wilkami, niżeli zostać przez nich pożartym. No! teraz już pożegnam cię stanowczo, droga pani Teodoro, bo mój poczciwy mąż zapewnie już niecierpliwie oczekuje na obiad.

Odeszła, a Teodora stała jeszcze długo zadziwiona i rozśmieszona zarazem. To już przechodziło jej pojęcie; znajdowali się więc ludzie dość ograniczeni aby się tem gorszyć że przedstawiano Wenus bez spódnicy? A ta promienna twarz Galatei uśmiechająca się tak mile z ram swoich, jest także czemś rażącem wstydliwe oczy spółziomków jej męża! O! nieszczęśliwy Rafaelu, zawołała śmiejąc się, czemuż jej nie przyodziałeś suknią w ogromne kwiaty, jaką miała pani Wunderlich na sobie? Doprawdy, to przypomina owego kardynała, który żądał aby dodano koszule nagim postaciom w Sądzie ostatecznym Michała Anioła. Sądziłam dotąd, że są to tylko zmyślone historyjki, teraz widzę że to mogło być prawdą.

Rozśmieszona tem Teodora, opowiedziała żartobliwie mężowi jak ciężkie czynią jej zarzuty, ale wbrew jej oczekiwaniu, Fryderyk słuchał ją w posępnem milczeniu, a gdy wzięła bronzową statuetkę Merkurego za skrzydełka u stóp jego i rzekła:

— Ty nie wiesz biedaku, jak wielkiej zbrodni dopuścił się Jan z Bolonii, puszczając się tak w świat bez okrycia.

Przerwał jej niecierpliwie:

— Kto wie czy pani Wunderlich nie ma słuszności, i czy nie lepiej byłoby usunąć z tąd podobne rzeczy. Ludzie wśród których żyjemy obecnie mogą być ciemni, zacofani, przesiąkli niedorzecznemi przesądami, nie przeczę temu, ale dla miłości spokoju byłbym gotów poświęcić im coś więcej jeszcze niż podobne cacka.

Powiedział to głosem tak cierpkim że Teodora zadrżała, i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

— Fryderyku, zapytała nieśmiało, czy znów sprawiłam ci jakąś przykrość?

— Nie, nie, moja ukochana, odpowiedział żałując już swego uniesienia i przyciskając ją do serca, idzie tu o co innego. Uspokój się, moja żoneczko, bądź wesoła i każ podawać obiad. Dla mnie to wszystko jedno czy Wenus wraz z towarzyszami niedoli pójdzie na strych czy też pozostanie w salonie, zostawiam to zupełnie do twej woli. Życzyłbym sobie tylko abyśmy mieli dobry obiad, bo nic tak nie zaostrza apetytu, jak gdy ktoś rozgniewa się rano.

Pomimo tych słów żartobliwych, Fryderyk był silniej rozdrażniony i niespokojniejszy niż to chciał okazać. Gdy wychodził z gimnazyum, pastor Martin kazał go poprosić do siebie, i zaczął mu wyrzucać ostro najprzód że nie umie utrzymać uczniów w karności, a następnie że jego wykłady są przesiąknięte liberalizmem. W zakończeniu zaś jeszcze dotkliwszem zaś jeszcze od całego kazania, mieściła się surowa nagana nie tylko dla młodego dyrektora ale i dla jego żony.

Fryderyk wysłuchał w milczeniu, choć wewnętrznem oburzeniem, tego aktu oskarżenia, które starał się odpierać następnie z największem umiarkowaniem, gdyż znając popędliwość swego przeciwnika, nie chciał go doprowadzać do ostateczności, lecz stary pastor wyszedł nagle nie pozostawiając mu czasu do usprawiedliwienia się z czynionych zarzutów. Łatwo mu było odgadnąć komu zawdzięczał tę przykrość; to Felsing wprowadzał w wykonanie plan obmyślony od dawnego czasu, to jest chciał tak dokuczać Fryderykowi, ściągając na niego różne nieprzyjemności, aby ten znudzony tem nakoniec podał się do dymisyi. Otóż młody dyrektor wiedział że Felsing nie przebiera w środkach i że gotów dopuścić się największej podłości byle tylko dojść do zamierzonego celu, czuł więc że z jego powodu będzie musiał przecierpiéć bardzo wiele.

XVI.

Podwieczorek u pani Wunderlich.

Trzecia wybiła na ratuszowym zegarze, ze wszystkich prawie domów wychodzą panie postrojone, pootulane ciepłemi okryciami, i po nieudeptanym jeszcze śniegu dążą wszystkie w jedną stronę, to jest do obszernego domu bogatego kupca, w ktorym oświetlone już salony, czekają na przybycie gości.

— Pinchen, drogie moje dziecię, czy nie zapomniałaś czasem chustki od nosa? odezwała się jedna z tych pań do swej towarzyszki, idącej obok niej tak nieśmiało, jak kot obawiający się zamaczać nogi.

— Ale nie, Finchen, jakże mogłaś pomyśléć abym zapomniała tak potrzebnej rzeczy. Co za nieznośny śnieg! jestem pewna że przemoczę buciki. Dziwna też myśl przyszła do głowy poni Wunderlich żeby w tak szkaradny czas wydawać podwieczorek!

— Idź za mną, moje dziecię, i staraj się stąpać po śladach nóg moich, rzekła Finchen z macierzyńską troskliwością. Bylebyś tylko nie dostała zuów kataru. Czy też włożyłaś w buciki aby korkowe podeszwy? Czy podniosłaś dobrze suknię?

— Tak, Finchen; odpowiedziała druga płaczliwym głosem, ale ten śnieg taki wilgotny i wiatr tak zimny.

— No! no! moje dziecię, mamy już nie daleko, odpowiedziała jedna z tych pań, zwracając się do swej towarzyszki z pocieszającym uśmiechem.

— Czy mogę poprosić aby panie zaczekały na mnie chwilkę? odezwała się jakaś nadchodząca szybko pani do panien Wensdorf, gdyż są to właśnie te siostry o których wspominała pani Hiller.

Finchen jest starsza o siedem lat, a jej wspaniała tusza stanowi uderzającą sprzeczność z chudością młodszej siostry, którą uważa zawsze za młodą niedoświadczoną panienkę, potrzebującą jej opieki. Pinchen zgadza się na to potulnie, i pozwala aby siostra nią kierowała, pieściła ją a nawet strofowała. To dziecko, jak ją nazywa zawsze siostra, ma już blizko pięćdziesiąt lat, ma twarz długą, chudą, żółtą, ale zdaje się wierzyć w to silnie, że rozpoczęła dopiero wiosenne lata życia, nosi tylko jasne kolory, i przyłącza się zawsze do grona młodych panienek, z taką pewnością jakby miała do tego niezaprzeczone prawo.

Z przeciwnej strony ulicy, zbliżają się do gościnnego domu państwa Wunderlich jakieś lekkie i zgrabne osoby.

— Więc droga Teo, matka twoja nie przyjedzie tu na Boże narodzenie? Szkoda! Tak się cieszyłam nadzieją że zobaczę moją kochaną Joasię, rzekła smutnie Helena.

— Tak, mama lęka się zimna, i dlatego też nie śmiem nalegać aby przyjechała, pomimo szczerego żalu że jej nie zobaczę. To mnie tylko pociesza, że matka moja i Joasia zdają się tak szczęśliwe razem, że już nie tęsknią za nami.

— Tak, widzę ogromną zmianę w Joasi; powtarza zawsze w swych listach że jest bardzo szczęśliwa, że tobie zawdzięcza to szczęście, i że pozostanie ci wdzięczną do ostatniej chwili życia.

— Poczciwa Joasia, rzekła Teodora z westchnieniem. Ale powiedz mi, Lineto, dodała po chwili powstrzymując się z trudnością od śmiechu i wskazując ręką idącą przed nimi osobę, czy ciotka nasza rozpostarła swój wachlarz dla okazania zimie swego lekceważenia? bo zdaje mi się, że słońce i gorąco nie dokuczy dziś nikomu.

— Jestto wynaleziony przez nią sposób zabezpieczania się od zimna, odpowiedziała Helena; dotąd nosiła wachlarz bezporównania większy, ale w tych dniach wiatr poszarpał go na kawałki, włożyła więc na głowę trzy watowane czapki, i musiała poprzestać na mniejszym... Co ja widzę! pani Felsing w czarnym aksamitnym kapeluszu, ozdobianym kwiatami z białej porcelany! Jakie zbytki! coby to jej matka powiedziała na to? Ale jeźli toaleta świąteczna, to twarz zadąsana i posępna jak dzień słotny.

Kończąc te słowa złączyły się z panią Felsing i pannami Wensdorf; Helena zmuszona przerwać swe uszczypliwe uwagi, powitała ją grzecznie zapytując o zdrowie, ale jednocześnie wskazała Teodorze wzrokiem porcelanowy bukiet przy kapeluszu pani Felsing, który za każdem jej poruszeniem wydawał jakieś harmonijne dźwięki. Teodorę opanował śmiech pusty, ale odwróciwszy prędko głowę, zapytała o zdrowie małego Ernesta. Ta oznaka troskliwości tak ucieszyła panią Felsing, że twarz jej rozjaśniła się nagle, a w oczach zabłysnął wyraz szczerej wdzięczności.

Przybyły nakoniec do domu państwa Wunderlich, gdzie ich oczekiwało serdeczne przyjęcie. W salonie było już mnóstwo osób rozmawiających z sobą wesoło, woń kawy unosiła się w powietrzu, filiżanki szczękały, a pani domu, rozpromieniona uśmiecha się do wszystkich, wita, ściska za ręce nadchodzących wyrażając im swą radość z ich przybycia.

— Czy żadna z pań nie zechce zająć miejsca w rogu sofy? zapytuje po raz szósty co najmniej, a pomimo to honorowe miejsce pozostało puste, bo zaledwie która z pań oparła się na miękkich poduszkach, nadchodziła inna, starsza od niej której wypadało jej ustąpić, poczem następowały ukłony, przeproszenia, podziękowania i przeróżne ceremonije, uprzyjemniające bardzo podobne zebrania. Nakoniec weszła pani Gahlen, i jako osoba wiedząca co jej się należy, zajęła bez wahania pierwsze miejsce.

Panienki odsunęły się od starszych pań, i z kącika w ktorym się schroniły dochodził często srebrzysty śmiech Heleny. Ma się rozumiéć że Pinchen Wensdorf przyłączyła się do nich, prawdopodobnie widok jej wdzięków podniesionych wiosenną toaletą, podbudzał pannę Helenę do tak głośnej wesołości.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 31.

N. 1. Suknia koronkowa. Zobaczyć rękaw na ryc. 26 w N-rze 32 Tygodnika Mód.

Ciągle utrzymująca się moda i upodobanie koronek, wywołało wyrób tkanin bawełnianych koronkowych białych, écru i czarnych, z których wyrabiane są całe suknie, na ciemnem jedwabnem podwleczeniu; najwięcej jednak dystyngowane są toalety czarne. Model do ryc. 1 odrobiony był z atłasu merveilleux i z koronki écru, z kokardami ze wstążki aksamitnej koloru czerwonawo-miedzianego ciemnego. Kapelusz z cienkiej bronzowej słomki ubrany był takiemi aksamitkami w trzech cieniach. Na spódnicy sukni naszyta atłasowa 50 cent. szeroka drobno plisowana falbana, przestębnowana w odstępie 11 cent. od brzega. Materyał koronkowy 60 cent. szeroki, obrócony poprzecznie i oszyty koronką marszczoną 10 cent. szeroką, upięty jest najpierw skośnie szalowo, a następnie w górze z przodu stanowi bufowaną draperyę: na brycie tylnym daje się bardzo sute upięcie. Materyał koronkowy modniejszy jest wyrabiany w delikatny deseń naśladujący „Chantilli" niż w ciężki deseń koronek hiszpańskich; draperye koronkowe powinny być sutsze niż z innych materyałów. Gładki atłasowy stanik pokryty jest gładko koronką, a u dołu oszyty dwoma koronkowemi falbanami, z których spodnia nadstawiona jest w górze atłasem. Do plecków dodana jest zręcznie upięta baskina z materyału koronkowego i koronki. Inne ładne rękawy podamy w N. 32 na ryc. 26, przy których i wykrój szyi powinien być wachlarzowo ogarnirowany.

N. 2. Sukienka ze stanikiem paltocikowym, dla dziewczynki lat 3—5.

Sukienka z blado żółtej satynki w rzucik różnokolorowy, ubrana była satynką gładką ciemno oliwkową, takąż aksamitką i żółtawą koronką 7 cent. szeroką. Z ciemnej satynki dana była skośna, 6 cent. szeroka plisa na spódniczce 25 c. długiej i przy przodach stanika, kołnierz, mankiety i podszewka pod patkami 16 cent. długiemi, któremi zakończone są plecki z czterech części złożone. Przody zapinane z boku na kryte haftki, zachodzą na szeroki gładki plastron kamizelkowy. Kokarda z aksamitki na ramieniu i na pleckach nad patkami.

N. 3—5. Szyfonierka ozdobiona haftem weneckim. Deseń haftu na fig. 33—34.

Tylną, gładką ścianę szyfonierki, mającej 60 cent. wysokości a 28 szerokości, robi się z cienkiej tektury i pokrywa skośnym atłasem ciemno oliwkowego koloru; pod haft zdobiący kieszonki tekturowe i trójkąt górny, na modelu podłożony był płowoczerwony adamaszek, na którym pięknie odbijał haft ażurowy, robiony złotem i kolorowemi jedwabiami. Haft wenecki robi się na płótnie żółtawem, jakiem staje się po długiem leżeniu, lub jakie sztucznie przysposobić można przez umoczenie w kawie lub herbacie. Robota będzie o wiele piękniejsza, jeżeli deseń odrysowany na płótnie będzie przed robotą wycięty, starannie na grubej ceratce ułożony i przyfastrygowany, a następnie dopiero obdziergiwany; przed wycięciem trzeba płótno z lewej strony podgumować, ażeby się brzegi nie siepały. Kontury deseniu odznaczone są grubą, złotą nitką w najlepszym gatunku, z której zarazem układane są pikoty, a następnie rzadko odziergane grubym różnokolorowym jedwabiem do szycia. Jak to widać na ryc. 4 i 5, niektóre części deseniu trzeba dwa a nawnt trzy razy złotą nitką z wierzchu rzadko jedwabiem przeszywaną obwieść, a gdzie pikoty do dalszych części deseniu dotykają, to je w robocie przydziergać Na dolnej kieszonce dolne arabeski przydziergane były jedwabiem blado oliwkowym, smok kolorem bordo, a górne arabeski dwoma cieniami jasno lila. Ryc. 4 przedstawia połowę deseniu na kieszonkę górną; tutaj także smoki robione są kolorem bordo, krata kolorem jasno oliwkowym, kwiatki na złączeniu kraty ciemno oliwkowym, a liście dwoma cieniami lila. W górnym trójkącie promienie opatrzności boskiej odziergane są kolorem blado bordo, linije proste oliwkowym, gwiazdki między arabeskami blado różowym, a liście i arabeski cieniami lila. Środek opatrzności zapełniają supełki złote.

N. 6—7. Parasoliki ogrodowe i do podróży.

N. 6. Parasolik z ażurowem pokryciem.

Przez mocne ażurowe, bawełniane pokrycie w kolorze białym i niebieskim, przebija podszewka z różowej satynki. Druty, okucie i kółko są złocone, a laska z jasnego drzewa ozdobiona wstążką w dwóch kolorach.

N. 7. Parasolik z laską składaną.

Długa laska parasolika przeznaczonego do podróży, zrobiona jest z mocnego drzewa, ażeby mogła bezpiecznie służyć do podpierania, a dla dogodności w pakowaniu urządzona jest do składania. Pokrycie parasolika z materyi jedwabnej w drobną kratkę różową i niebieską; kokarda ze wstążki w dwóch kolorach, gałka metalowa.

N. 11. Podłużna serweta do przykrycia stołu, komody lub bufetu. Ścieg krzyżowy i pojedyńczy na dwie strony. Deseń na arkuszu z korjami N. 6 i 15.

Ryc. 11 przedstawia serwetę z żółtawej kanwy Aïda, mającą 100 cent. długości a 68 szerokości; całe tło deseniu zarabia się jedwabiem kolorowym ściegiem zwyczajnym krzyżowym lub plecionym a na figurach deseniu żyłki wyszywa się ściegiem pojedyńczym. Na szlak szeroki otaczający trzy strony serwety, trzeba zestawić od środka na dwie strony, deseń podany pod N. 6 lub 15 na arkuszu z deseniami i krojami, a po brzegach zakończyć go szlaczkiem wązkim. Ten sam deseń na tle serwety zestawiony jest kilka razy. Na modelu tło zarobione było jedwabiem czarnym, a żyłki na deseniu dane jedwabiem purpurowym; można tło zarobić kolorem purpurowym, a żyłki czarnym lub oliwkowym. Jedwab trzeba dobierać w najlepszym gatunku, nie zmieniający się w praniu; na modelu między szlakiem a tłem pozostawiony był pas kanwy 31 ściegów szeroki, na którym wyszywa się zdanie lub przysłowie. Brzegi serwety zdobi piękna frendzla macramé albo siepana w kanwie i wiązana z dodaniem kolorowego jedwabiu.

N. 12—16. Worek na drobiazgi do prania, ozdobiony robotą szydełkową.

Worek na drobiazgi szyje się z kawałka ponsowego, szwajcarskiego perkalu, mający 50 cent. długości a 64 szerokości; brzeg dolny marszczy się i ściąga ściśle a górny zawija się podwójnie na falbankę 8 cent. szeroką i na 1 cent. szeroką listewkę do nawleczenia wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej do ściągania. Z wierzchu zdobi woreczek robota szydełkowa, złożona z 22 gwiazd zrobionych podług próbki ryc. 13 lub 15. Denko stanowi 6 rozet, z których jedną środkową otacza się w koło pięciu pozostałemi, w równych odstępach za jeden ząbek przyczepionemi a z boków także jednym ząbkiem ze sobą złączonemi. Denko to mające kształt czarki obrabia się równo szlaczkiem szydełkowym zajmującym od jednej rozety do drugiej około 11 cent. obszaru; w pierwszym obrobieniu próżnię między gwiazdami zapełniają grupy z 3 do 4 słupków jednem o: złączonych a oo: powietrznemi przedzielanych. Słupki są stopniowo 4—8 razy nawijane. Drugie obrobienie jest z o: ścisłych, trzecie drabinka z o: pow. i słupków, czwarte znów z o: ścisłych. Do denka przyczepione są dwa rzędy, każden z 8 rozet złożony, które między sobą łączą się małemi rozetkami. Przykrycie to przyczepia się nieznacznemi ściegami do woreczka, a do denka sutą kokardą ze wstążki. Ryc. 13 przedstawia rozetę ze sznureczka wyrabianego w owiesek i roboty szydełkowej z bawełny na kłębuszkach N. 70, koloru écru, którą łatwo podług tego wzoru wykonać można. Rozety łączą się najpierw ze sobą w równych odstępach 3 ząbków pikotowych za dwa takie ząbki a następnie kwadracikami r. 14, które przyczepia się do środkowego z 3 luźno zostawionych zębów. Na ryc. 14 dajemy rozetę szydełkową z tasiemeczką koronkową, której kawałek 17 cent. długi, spaja się na kółko, do którego na zewnątrz i na wewnątrz przyrabia się robotę szydełkową, z bawełny kłębuszkowej N. 60. Najpierw zapełnia się środek gwiazdy robiąc w koło * 3 słup. dwa razy nawijane, przedzielane 1 pikotem a w górze spajane jednem o: ścisłem, 5 o: powietrznych, opuścić 3 pikoty tasiemeczki, powtarzać od gwiazdki. Rząd 2 zacząć 3 o: pow: * 1 słup. raz nawijany w 4-te o: pow: poprzedzającego rzędu, 3 o: powietrzne, jeszcze jeden słupek w to samo oczko, któren spoić jednem o: ze słupkiem następującym wziętym w 4 o: pow. poprzedzającego rzędu, powtarzać od gwiazdki. W trzecim rzędzie ciągle naprzemian 4 słup. we dwa ząbki poprzedzającego rzędu spojone w górze 1 o:, 3 o: pow. Rząd 4 obrobić ściśło; w rzędzie piątym zrobić pięć razy po 3 słupki dwa razy nawijane spajane jednem o:, u dołu przedzielane odstępem z trzech o:, w górze przedzielane 1 o: pow. Szlak z zewnętrznej strony tasiemeczki łatwo odrobić podług rysunku. Do spajania tych gwiazdek służy gwiazdka podana na ryc. 16.

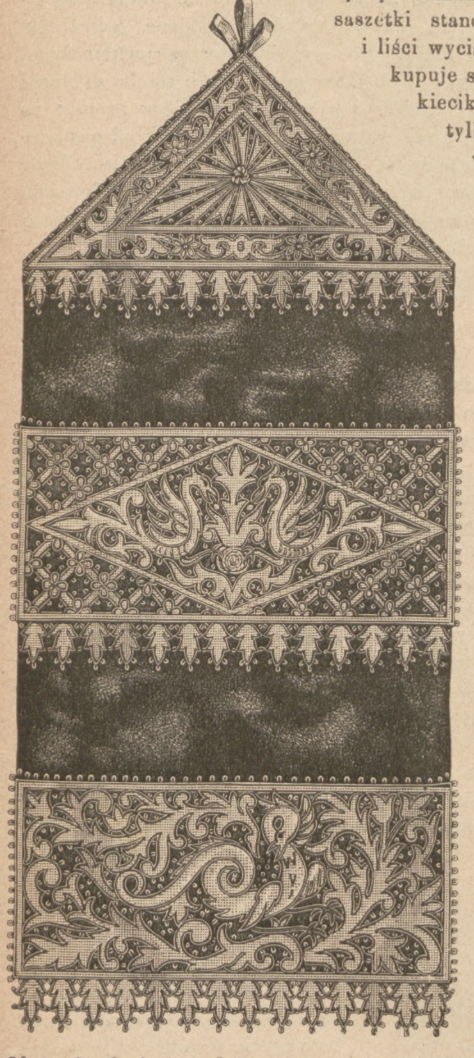


N. 1. Ubranie letnie z tiulu koronkowego. Patrz rękaw ryc. 26 w N-rze 32. N. 2. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5.

N. 20 i 22—23. Saszetka ozdobiona aplikacyą kwiatów skórzanych.

Saszetkę stanowi kwadrat tektury trzymający 30 cent. któren z wierzchu pokryty jest pluszem a wewnątrz pod-

szyty lekko watowanym i pikowanym ponsowym atłasem. Kwadrat składa się jak książkę we dwoje, oszywa sznurem jedwabnym i wiąże wstążką ottoman 5 cent. szeroką. Ozdobę saszetki stanowi aplikacya z kwiatów i liści wyciskanych skórzanych, które kupuje się gotowe, układa w bukiecik, przykleja na pluszu i tylko podłużne ściegi wyszywa się podwójną bronzową filozelą a kielich oszywa się złotym sznureczkiem i wyszywa supełkami. Kwiaty są ze skóry żółtej. Pompony włóczkowe. Aplikacyą ze skóry mogą zastąpić haftowane na płótnie kanwowem lub rzadkim płótnie domowej roboty; kontury obrabia się ściegiem łańcuszkowym niedzieloną filozelą, a z wierzchu przeszywa nitką złotą, kielich wyszyć supełkami a żyłki ściegiem długim i dzierganym. Następnie podkleić płótno bibułką, wyciąć kwiaty starannie i przyszyć na pluszu krytemi ściegami.



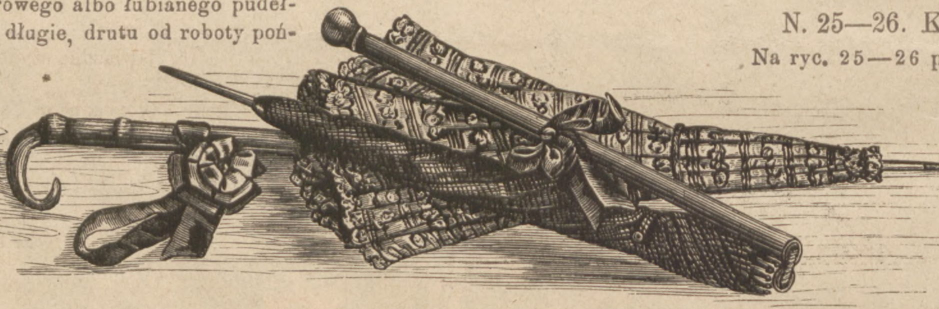
N. 3. Szyfonierka zdobna haftem weneckim. Patrz ryc 4—5. Deseń na arkuszu fig. 33—34.



N. 4. Haft wenecki (połowa kieszonki górnej) do ryc. 3.

N. 24 i 29. Postumencik do zakładania szpulek z jedwabiem niekręconym, do haftu płaskiego.

Jedwab niekręcony zastępujący pele lub filozele, a odznaczający się lustrem i pięknością kolorów, kupuje się nawijany na szpulki, które przy robocie najlepiej zakładać na druty umieszczone w postumenciku. Postumencik urządza się na denku od małego tekturowego albo łubianego pudełka, w które wbija się kawałki 12 cent. długie, drutu od roboty pończoch, potem napełnia się denko ołowiem i pokrywa z wierzchu i od spodu amerykańską skórą $1^1/_2$ c. za brzegi wystającą, ażeby ją można było zeszyć ze sobą na wierzchu boków. Zeszycie pokrywa pasek haftu robionego na suknie, aksamicie lub płótnie, jedwabiami kolorowemi, ściegiem krzyżowym lub pojedyńczym i płaskim, do którego wzór dajemy na ryc. 29.



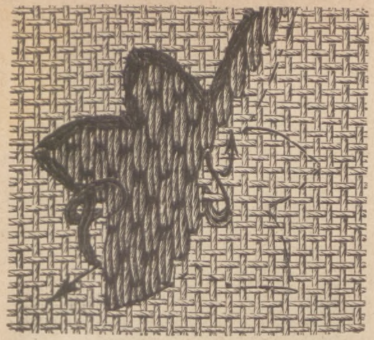
N. 6—7. Parasoliki ogrodowe lub podróżne.
N. 6. Parasolik z pokryciem ażurowem. N. 7. Parasolik z laską składaną.

N. 25—26. Krótkie okrycie. Krój N. II, fig. 10—12a.

Na ryc. 25—26 podajemy krótkie okrycie z szerokiemi rękawami, odrobione krojem nadającym się zarówno do grubszych gładkich lub deseniowych materyałów, jak i do wyrobów lekkich, a nawet do klarownych. Rycina 25 przedstawia okrycie z czarnego ottomanu; rękawy i brzeg dolny oszyte są wolantem plisowanym, ułożonym ze wstążki ottoman 7 cent. szerokiej, oszytej koronką 8 cent. szeroką. Przody ogarnirowane koronką wachlarzowo naszytą, zapinają się na kryte haftki. Na ryc. 26 podajemy



N. 5. Haft wenecki (deseń na kieszonkę dolną; dalszy ciąg patrz fig. 34) do ryc. 3.



N. 8 Sposób wyszycia ściegu gobelinowego, do ryc. 32 w N-rze 32.

płaszczyk z materyału koronkowego, garnirowany taką jak poprzedzający falbaną i kokardami ze wstążki. Na plecach dany jest garnirunek z koronki 13 cent. szerokiej. Kapelusz słomkowy do r. 25, ubrany był koronką, wązką wstążką aksamitną i bukietem z róż. Cienki łyczkowy kapelusz na ryc. 26 garnirowany był riuszami z materyi oliwkowej, a ubrany takąż wstążką i bukietem z kwiatów.

Opis do N-ru 32.

N. 1. Ubranie dla chłopczyka.

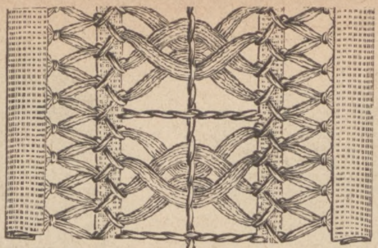
Krój sukienki dla dzieci lat 3—5 jest jednakowy dla dziewczynki lub chłopczyka, z dodaniem krótkich majteczek dla chłopczyka. Sukienkę r. 1 można dopasować podług formy danej do r. 2, tylko krając przody dodaje się przy prawej połowie zachodzącej na wierzch trochę materyału na cztery fałdy, zapięcie dane z boku na guziki. U dołu sukienki dana plisowana falbana 31 c. szeroka. Szarfa liczy 23 cent szerokości a 130 cent. długości. Ubranie z drelichu w paski ponsowe z białym, miało szarfę, kołnierz i mankiety z gładkiej ponsowej satynki.

N. 2. Ubranie dla dziewczynki. Krój na arkuszu N. V, fig. 21—24.

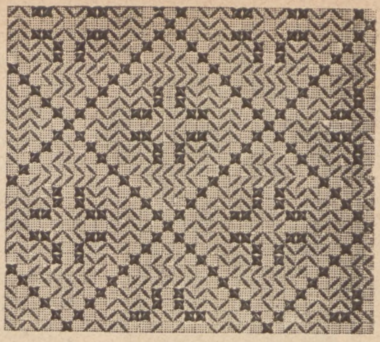
Przody i plecy krają się podług fig. 21 do 22; zakładki dają się tylko w materyale zwierzchnim, którym jest blado niebieski zephyr i poniżej zapięcia na guziki puszczone są wolno. Brzegi staniczka oszyte 9 c. szerokim przemarszczanym wolantem, z pod którego wysuwa się szeroka plisowana falbana zastępująca spódniczkę Przyozdobienie stanowią szlaczki wyszyte krzyżykami i koronka szydełkowa.

N. 3—5. Firanka zsuwana i lambrekina do okna lub drzwi od balkonu.

Firanki z płótna rzadkiego (jak na pytle) 130 c. szerokie, zakończone są szlakami z kanwy Aïda, z której jest lambrekina górna. Odpowiednie desenie na ścieg krzyżykowy dajemy na dzisiejszym arkuszu z krojami. Ryc. 3 przedstawia w jaki sposób łączy się tło płócienne ze szlakiem kanwowym; brzeg płótna zakończony obrąbkiem z kratką ażurową, obrobiony jest ząbkami szydełkowemi podług ryc. 4, do których następnie przyszywa się podwójną nitką bawełny kordonkowej szlak kanwowy, z brzegami zakończonemi fabrycznie. Wszywka z kratki ażurowej wyciągniętej w płótnie, wskazana na ryc. 10 w N-rze 31 łączy dwa pasy kanwy między sobą. Szlak wyszyty dwoma cieniami granatowej bawełny (N. 11.)



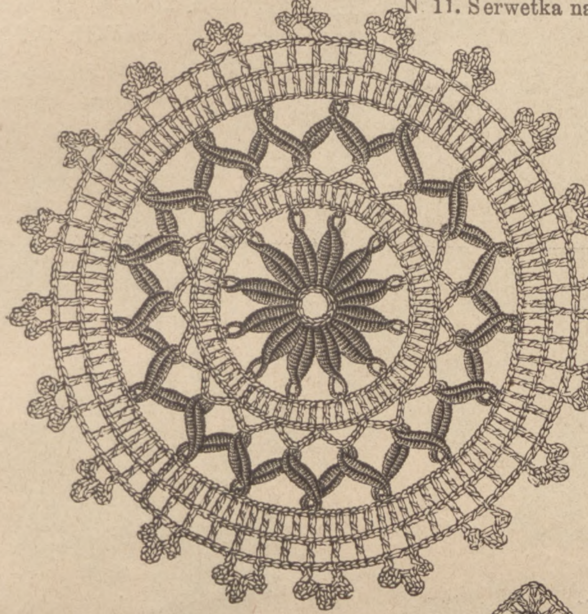
N. 10. Wszywka z kratki do r. 5 w N. 32.



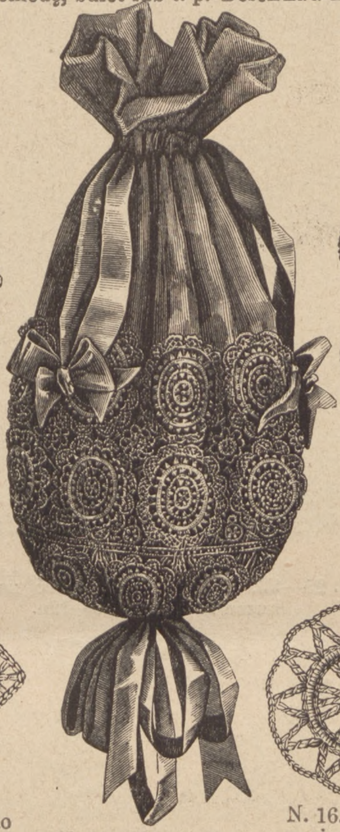
N. 9. Deseń na ścieg serbski pleciony. Patrz ryc. 17.



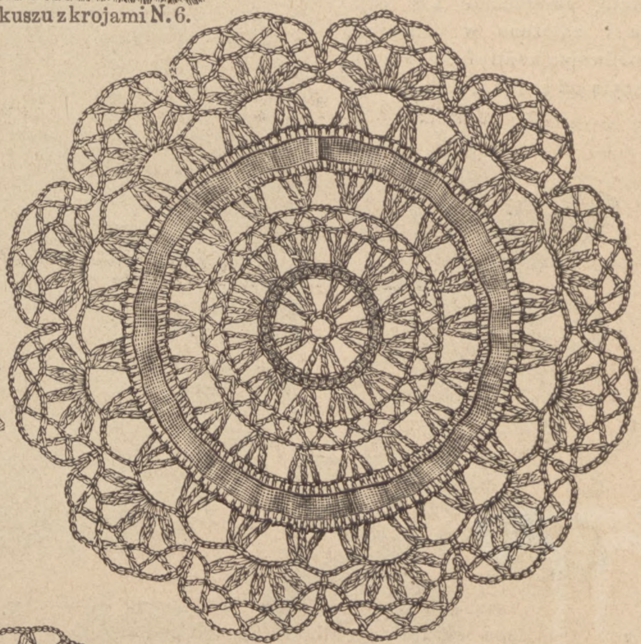
N. 11. Serwetka na komodę, bufet lub t. p. Deseń na arkuszu z krojami N. 6.



N. 13. Gwiazdka szydełkowa ze sznureczkiem.



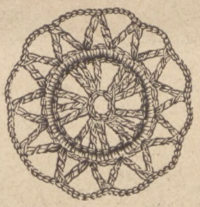
N. 12. Woreczek na drobiazgi.



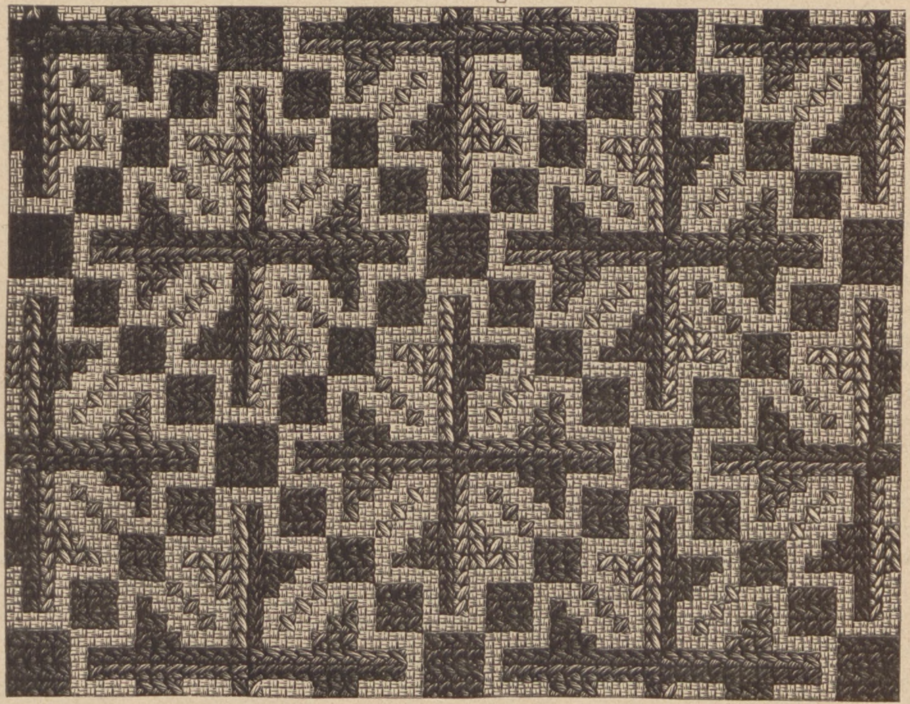
N. 15. Gwiazdka szydełkowa z tasiemeczką-koronkową.



N. 14. Kwadracik do spajania gwiazdek r. 13.



N. 16. Gwiazdka do spajania. Odpowiednia do ryc. 15.



N. 17. Ścieg serbski pleciony na woreczki, poduszki lub t. p. Patrz ryc. 9.

N. 9—11. Dwie bluzki do ubrania podróżnego.

W podróży zamiast obcisłych staników, bardzo używane są bluzki z materyału gładkiego lub deseniowego jedwabnego czy bawełnianego, bez podszewki lub na fularze czy muślinie. Brzeg bluzki chowa się pod pasek lub zachodzi na spódnicę jak baskina od stanika, obciśnięty paskiem z klamerką lub przewiązany wstążką. Odpowiednio do wykończenia bluzka stanowić może ubranie negliżowo lub całodzienne.

N. 9 i 11. Bluzka marszczona. Krój na arkuszu N. IV, figura 16—19a

Dla objaśnienia w jaki sposób można bluzkę mniej lub więcej obcisnąć do figury, podajemy ją rozło-



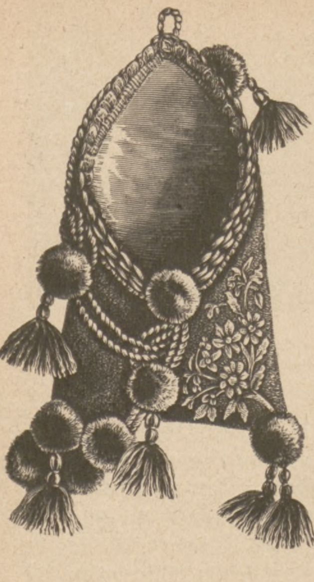
N. 18. Suknia z przypiętą draperyą. Patrz stanik ryc 19. Krój na arkuszu fig. 8—9.



N. 20. Saszetka zdobna aplikacyą. Patrz ryc. 22—23.



N. 19. Stanik do sukni ryc. 18. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—9.

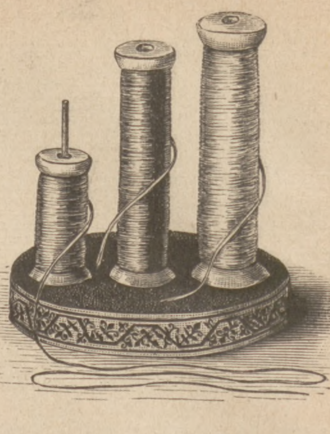


N. 21. Woreczek na szczotki.

żoną na lewą stronę na r. 9; ryc. 11 przedstawia bluzkę z kretonu granatowego w turecki deseń. Szerokość i długość formy dopełnia się podług fig. 16a; gładką podszewkę pod plecy kraje się podług figury 18, materyał zwierzchni przymarszcza się u góry i na wcięciu stanu, gdzie następnie przyszywa się od spodu pas 8 cent. szeroki, sznurowany z przodu. Przody bluzki zmarszczone są na ramionach i o 15 cent. poniżej podług linii cienkiej danej na fig. 16; między marszczeniem układają się fałdki. Rękawy mają spodnie połowy zupełnie gładkie, zwierzchnie zaś lekko namarszczone i założone w oznaczoną krzyżykiem podwójną kontrafałdę, 8 cent. szeroką, podszytą od spodu gładką listewką. Pasek z klamerką stalową. Kołnierzyk z koronki szydełkowej.



N. 25—26. Okrycie letnie. Krój na arkuszu N. II, fig. 10—12a.



N. 24. Podstawka do szpulek z jedwabiem i nićmi.



N. 22. Gałązka do aplikacyi. Haft na płótnie.



N. 23. Gałązka do aplikacyi. Wyszycie na skórze wytłaczanej.

N. 10. Bluzka z zakładkami. Krój patrz figurę 20.

Uszyta z granatowego satin merveilleux na cienkiej jedwabnej podszewce, ma kołnierz i mankiety z aksamitu tegoż koloru. Na fig. 20 wskazujemy różnicę kroju tej bluzki z krojem do ryc. 11; podług trzech linii prostych zaszyte są wzdłuż zakładki, 1 c. szerokie, takież zakładki dane na plecach, do których w pasie przyszyta od spodu szeroka elastyka, utrzymująca bluzkę. Kołnierz wykładany przykroić można podług fig. 7.

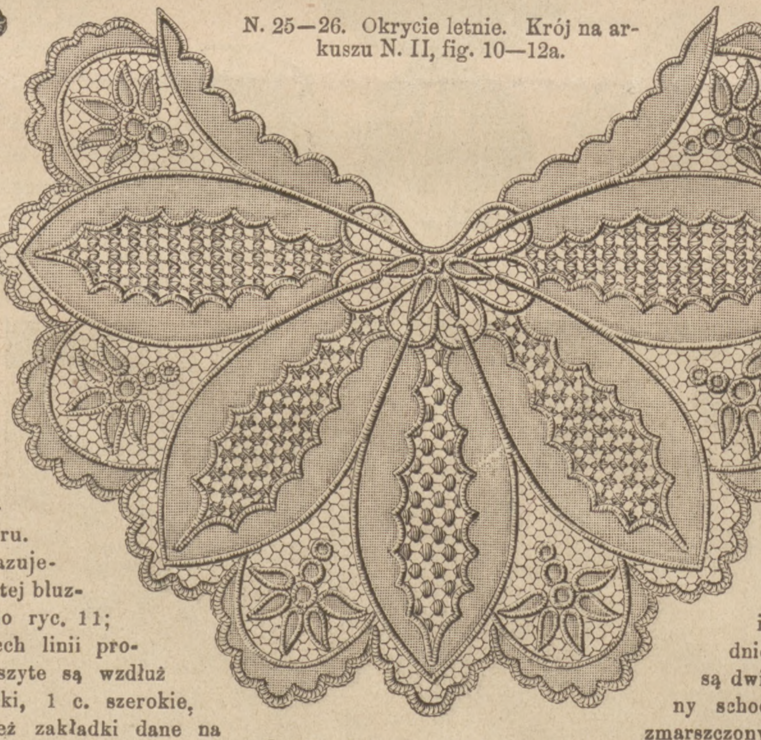
N. 12—13. Serwetki na meble. Patrz deseń na arkuszu N. 2 i 3.

Ryc. 12 przedstawia serwetkę filet antique, której czwartą część daliśmy pod N. 2 na arkuszu z krojami. Taki kwadrat z siatki kolorowej, wyszytej jedwabiem ściegiem zwanym „point de toile“, z deseniem obwiedzionym grubą nitką złotą może służyć na poduszkę do kanapy. Na ryc. 13 daliśmy serwetkę z siatki gipiurowej, z brzegiem zakończonym w zęby, do której czwartą część desenia przedstawia N. 3 na arkuszu; wyszycie dane zwykłym ściegiem point d'sprit i point de toile. Ząbki brzeżne trzeba odziergać dla mocy.

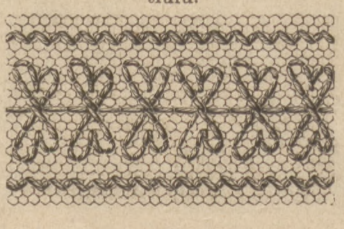
N. 14. Suknia z upięciem á paniers. Patrz r. 30 w N. 31. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 28.

Przód i boki sukni pokrywają 20 c. szerokie falbany, cztery razy przemarszczane, u dołu wycięte w zęby. Upięcie á paniers dane z przodu idzie w dalszym ciągu od tylnej draperyi, jak to wskazuje fig. 28; cień ciemniejszy oznacza podszycie z deseniowej materyi, nadające sztywność upięciu. Brzegi przednie są złożone gwiazdką do gwiazdki, sfałdowane podług znaków i przyszyte u góry na spódnicy; z wąskiej strony dane są dwie zaszewki, a brzeg tylny schodzący się z draperyą, zmarszczony do 20 cent. układa się podług ryc. 14 i 30. Tylna draperya przyczepiona z brzegów niewidocznie na spódnicy, wcale się niepodpina. Chusteczkowe ubranie na staniku ułożone z trójkąta w środku 60 cent. długiego.

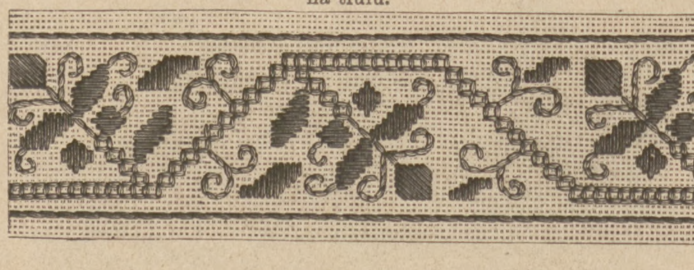
(*D. n.*)



N. 27. Zakończenie krawatki. Haft na muślinie z podłożeniem tiulu.



N. 28. Wszyweczka wywiedziona na tiulu.



N. 29. Szlaczek do ryc. 24.



N. 30. Suknia z draperyą a paniers. Patrz r. 14 w N-rze 32. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 28.



N. 31. Suknia z naszytym szlakiem. Patrz ryc. 22 w N-rze 32. Krój na arkuszu N. X, fig. 30—31.